

CHIMERA. TOM PIĄTY. ZESZYT PIĘTNASTY. WRZESIEŃ 1902.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA — WARSZAWA NOWY ŚWIAT 22.

TREŚĆ.

TOM V. ZESZYT 15. — WRZESIEŃ 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym
B. WIERZBICKIEGO i S-ki.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1902 года.

Dziewczyna modląca się. Rysunek węglowy Karola Tichego.

Widzenia Jecheskielowe.

וארא מראות אלהים׃
Hez. I. 1.

WIDZENIE WOZU.

Roz. I, w. 1, 2, 3. *Stało się tedy, ponad Kebar rzeką,*
że ja, Jecheskiel, syn Buzy, kapłana —
w Chaldei, kędy łzy wygnańców cieką,
widziałem niebios podniesione wieko
i przychodzącą straszną zjawę Pana.

A było piąte lato, miesiąc czwarty,
odkąd wraz z ludem poszedł dźwigać pęta
Jojachin władca, ziemi swej wydarty:
wtedy nade mną strop niebios rozwarty,
i Przedwiecznego moc się stała święta.

w. 4. *Zawył z północy huragan, gnąc dęby,*
a w nawałnicy przyszła chmura sroga
i tuman ognia: — wkrąg błyskawic zęby
darły obłoków pokrwawione kłęby, —
w środku: rdzeń ognia, złoty blask, pożoga.

w. 5, 6. *A otom uźrzał z ogniowego rdzenia*
cztery postacie jakoby człowiecze,
zaś miedzi skrzącej podobne z weźrzenia:
czworgiem oblicza każda z nich z płomienia
patrzy i płomień czworgiem skrzydeł siecze.

w. 7, 8. *Udo ich proste, jako słup toczony,*
a stopa krągła, jako stopa wołu, —
i każda postać, z czterema ramiony,
cztery oblicza w cztery zwraca strony;
skrzydła—dwa w górze ma, dwa zasię z dołu.

w. 9. *Wzniesione — wzajem łączą się u góry,*
dolne, złożone, z obojego boku
ciała im kryją szerokiemi pióry.
Idąc, wprost twarzy idą, jak pod sznury,
ni się zwracają, odmieniając kroku.

w. 10. *A to jest obraz ich twarzy prawdziwy:*
każda wprzód patrzy oczyma ludzkiemi,
z prawej lwia paszcza śród płomiennej grzy-
z lewej łeb wołu, a orli dziób krzywy [wy,
z tyłu tych czworga, wzniesiony nad niemi.

w. 11, 12. *Skrzydła rozwite nad twarzami w górze,*
zaś dwa złożone z obojego boku.
Tam, kędy wioną straszne ducha burze,
idą postacie—wprost przed siebie, w chmurze
ognia, a idąc, nie zwracają kroku.

w. 13, 14. *Żar i zarzewie — oto ich weźrzenie,*
jako pochodnia, gdy wielce rozgorze.
A przebiegały pośród nich płomienie, —
wkrąg jasność, z niej zaś szło błyskawic lśnie-
jak błyskawica szły zwierzęta boże. [nie;

w. 15, 16. *A kiedym poźrzał, zoczyłem na przodzie*
każdej postaci jasną koła zjawę:
barwą podobne zmiennej morskiej wodzie,
a jedno koło w drugiego obwodzie, —
cztery—a wszystkie jak bursztyn jaskrawe.

w. 17, 18. *I szły te koła w cztery świata strony,*
ni się zwracały, tocząc się po niebie
na sprych promieniach wspaniałemi dzwony,
a zaś ich obwód cały wysadzony
oczami, — idąc, szły prosto przed siebie.

w. 19, 20. *Dokąd zwierzęta boże szły, tam z niemi*
dążyły koła, — tam, gdzie wiać ochota
przyszła duchowi. Szły więc z idącemi
a zaś się wespoł wznosiły od ziemi:
zaiste, w kołach tych był duch żywota.

w. 21. *Gdy się ruszały ich postacie zwierzchnie,*
i same koła sunęły świetliste,
wraz z niemi stały w blasku, co nie mierzchnie,
lub się wznosiły wespół nad powierzchnię:
był duch żywota w kołach tych zaiste.

w. 22, 23. *Zasię nad zwierząt głowami u góry*
jakoby kryształ blasku i rozpięte
w strasznej jasności sklepienia lazury, —
a pod sklepieniem, ognistemi pióry
złączone, skrzydła — prosto wyciągnięte.

w. 24. *A szum tych skrzydeł, gdy szła owa zjawa,*
jakoby łoskot strasznego potopu,
boży grzmot, tłumu zgiełk, obozu wrzawa —
tak biły wicher. Lecz się cisza stawa,
gdy się wstrzymają pod jasnością stropu.

w. 25. *Bo kiedy zagrzmiał głos na utwierdzeniu,*
które na głowach zwierząt się opiera,
posłuszne, w wielkiem stanęły milczeniu,
spuściwszy skrzydła,—a w błyskawic lśnieniu
nad niemi w górze jaśń słoneczna szczera.

w. 26. *I w tej jasności nad zwierząt głowami*
uźrzałem niby zjawisko stolicy,
niby z szafiru tron, co oczy mami
ogromnych blasków promiennych snopami;
na tronie — ludzka postać w błyskawicy.

w. 27. *Uźrzałem: jakby widmo chryzolitu,*
jakoby ogień chodzący wokoło;
od biodr poniżej: jasnoście błękitu
i skier tumany; od biodr aż do szczytu
głowy: blask ognia—jarkie słońca czoło.

w. 28. *Jak tęcza świetna, słońcem malowana,*
kiedy w dzień dżdżysty błyśnie nad obłokiem:
takowa jasność biła w krąg świetlana —
a toć był obraz strasznej chwały Pana!

Na twarz upadłem, rażon tym widokiem...

WIDZENIE KSIĘGI.

Roz. II, w. 1, 2. *Tedy słyszałem głos, co grzmiał tajemnie*
z pośrodka zjawy: Wstań! chcę mówić z tobą,
synu człowieczy!—Wraz duch wstąpił we mnie,
wzmocnił me nogi, starł z mych oczu ciemnię—
i rzekącego słyszałem nad sobą:

w. 3. *Synu człowieczy! Oto ja ślę ciebie*
do Izraela, do mej krnąbrnej gminy,
co się zaprzała Mnie, Boga na niebie;
jako ich ojce, na Mym wzrosłe chlebie,
tak są odstępne aż po dziś-dzień syny!

w. 4, 5. *Nieukrócony to lud i oporny,*
któremu ciebie posyłam w dzień trudu.
byś rzekł: To mówi Pan!—Czy kto, przezor-
posłucha, a kto zaniecha (przekorny [ny,
dom jest!)—niech wiedzą: prorok był wśród
[ludu.

w. 6. *Ty się nie strachaj, nie bój się ich mowy:*
pośród niedźwiadków mieszkasz od tej pory,
a zaś posłaniem twojem kierz cierniowy, —
lecz w ich obliczu nie drżyj, ani głowy
skłaniaj przed nimi: dom to jest przekory!

w. 7, 8. *Kto snadź poniecha, czy ucha nakłoni*
— boć dom przekorny! — z Mojem słowem by-
niech słyszą! Zasię nie bądź ty, jak oni, [waj,
krnąbrny, lecz słuchaj, coć mówię: w Mej dłoni
twa strawa; usta otwarlszy, pożywaj!

w. 9, 10. *Ano pożrzałem: dłoń ku mnie ściągniona,*
w niej zwita księga, — a gdy się rozkłada
przed okiem mojem, widzę, każda strona
z wierzchu i z spodu pismem wypełniona,
a znaki pisma: jęk i płacz i biada!

Roz. III, w. 1, 2. *I zaś Pan rzecze: Zjedz, synu człowieczy,*
cokolwiek dajęć — i pojdź kazać ziemi
Izraelowej, co proroctwom przeczy! —
Otwarłem usta, i Pan w samej rzeczy
karmił mnie, sługę, księgami owemi.

w. 3. *A zaś: Zaprawdę — pry — napełnij łono,*
żywot i trzewa i żył swych kanały
onych ksiąg gorzkich treścią przetrawioną —
toć Ja ci daję! — Zjadłem je, a ono
jako miód słodkie w uściech mych się zdały!

WIDZENIE SIEDMI MĘŻÓW.

Roz. VIII, w. 2. *Ujrzałem postać — niby chryzolitu*
widmo, jak płomień chodzący wokoło;
od biódr poniżej — jasnoście błękitu
i skier tumany; od biódr aż do szczytu
głowy—blask ognia, w nim słoneczne czoło.

w. 3, 4. *A oto jakby widmo skrzącej dłonie*
wraz mnie chwyciło za głowy kędzierze
i duch mnie poniósł przez powietrzne tonie
pomiędzy niebem a ziemią ku stronie,
gdzie Jeruzalem wznosi swoje wieże.

A podle brony, co na północ idzie,
gniew wzbudzający bałwan stoi ninie
ku hańbie ludu i bożej ohydzie;
nade mną chwała Pańska w takim widzie,
jakom ją wprzódy ujrzał na równinie.

w. 5. *I rzekł Pan do mnie: Wznieś ano źrenice*
i patrz na drogę! — I oto mi widny,
kiedym wzniósł oczy na Pańską świątnicę,
podle ołtarza u wstępu ulice
bałwan jątrzący i nader bezwstydny.

w. 6. *I rzekł Pan do mnie: O, synu człowieczy!*
widzisz, co czynią? Lud Moje najświętsze
miejsce skalawszy, przymierze kaleczy,
abym ztąd odszedł i puścił go z pieczy;
wszelakoż zbrodnie pełnią jeszcze większe!

w. 18. *W zapalczywości przeto z nimi pocznę*
i nie sfolguje oko Me, ni serce
drgnie zmiłowaniem, ni mnie podobłoczne
jęki ich wzruszą — i nie pierwej spocznę,
aż do ostatka wytracę bluźnierce!

Roz. IX, w. 1. *I głosem wielkim, jak potężne grzmoty,*
Pań począł wołać (zmartwiałem od lęku):
Sam-tu, siepacze Moi, do roboty,
bo nawiedzenia przyszedł dzień na złoty
gród Jeruzalem, — pójdźcie! z mieczem w rę-
[ku!

w. 2. *I sześci mężów przyszli na głos Pana,*
z mieczami wszyscy, — a siódmy w ich rzędzie
stanął pośrodku, kędy jest miedziana
ołtarza stołba. — szata na nim lniana
a zaś u bioder pisarskie narzędzie.

w. 3. *I z cherubiego wozu Pańska Chwała*
spłynęła w żrących błyskawic potoku
do wrót świątyni i męża przyzwała,
na którym była lniana szata biała
a zaś pisarskie naczynie u boku.

w. 4, 5. *I rzekł Pan tedy: Idź skróś Jeruzalem*
i naznacz znakiem tych, co wśród wzdychania
nad tą ohydą drą swe szaty z żalem;
a wy w trop za nim, — lasu mego drwalem
bądźcie, a rąbcie wkrąg bez zmiłowania;

w. 6. *Starca, młodzieńca, niewiastę i dziecię —*
wybijcie wszystko, wybijcie do nogi,
kromia kto znak Mój będzie miał na grzbie-
a od świątyni Mojej rozpoczniecie [cie,—
rzeź — niechaj spłyną krwią sienie i progi!

w. 7. *Tak rozpoczęli oną pracę krwawą*
od starszych ludu poprzed Pańskim domem.
A Pan rzekł do nich: Kładźcie wszystko ławą,
splugawcie dom Mój trupami a żwawo!
I oni wyszli, bijąc w mieście gromem.

w. 8. *A gdy skończyli wreszcie zabijanie,*
ja sam zostałem i padłem i z żalem
wołałem: Biada, biada, biada, Panie!
wytracisz lud Twój wszystek, nie ostanie
nikt, gdy wylejesz gniew na Jeruzalem!

w. 9. *A Pan mi rzecze: Bez miary, bez miary*
są grzechy ludu, co dom Mój ohydzi!
Oto kraina do krwi pełnej czary
podobna, miasto jest przybytkiem kary,
iże mówili: Odszedł Pan, nie widzi!

w. 10, 11. *Więc nie sfolguję, aże ich przewiny*
oddam z nawiązką, dobrze wymierzoną,
by Mnie poznały izraelskie syny!
A oto — na trup pokazując siny —
rzekł mąż w gźle lnianem: Jakoś rzekł,
[spełniono.

WIDZENIE POLA KOŚCI.

R. XXXVII, w. 1, 2. *Tedy mnie tknęła Pańska moc i boże*
wichry rzuciły mnie, jak lotną strzałę,
na wielkie, kośćmi zasłane bezdroże.
I duch mię obwiódł wkrąg po tym ugorze —
a kości wszędy, suche wielce, białe...

w. 3, 4. *I rzekł Pan do mnie: Co myślisz, azali*
może żyć owa sucha kość i mnoga?
Jam rzekł: Ty, Panie, wiesz!—On zasię dalej:
Prorokuj białej piszczelów tych fali,
mów: Kości suche! słyszcie słowo Boga!

w. 5, 6. *To mówi Pan wasz: Natchnę was żywotem,*
sprawię, że mięso znów na was poroście,
żyły rozepnę i ścięgna, a potem
powlokę skórą i dam dech z powrotem,
byście wiedziały, żem Ja Pan wasz, koście!

w. 7. *Prorokowałem wedle rozkazania —*
i oto wszczął się wielki szum po stepie,
gdym prorokował, łoskot, chrzęst wstawania:
wnet kość do kości sunie się i skłania,
każda w swym stawie siada i czerepie.

w. 8. *I otom widział, jako je pokryły*
ścięgna, i mięsem kość porosła sucha,
i zatętniały krwią czerwone żyły,
i skórą ciała obleczone były —
ale nie miały do tej pory ducha.

w. 9. *Zaś Pan rzekł do mnie: Prorokuj duchowi,*
prorokuj, synu człowieczy, prawdziwie,
niechaj twój język wolę Mą wysłowi:
Od czterech wiatrów w ciało, co się mrowi
tutaj, wioń duchu, niech wstanie a żywie!

w. 10. *Jako rozkazał, tedym prorokował —*
i wnet duch powiał nad tę zżętą ściernię
i wstąpił w ciała leżące na pował:
jakoby wojsko, które naszykował
Pan, wstały tłumy, liczne niepomiernie.

w. 11. *A Pan zaś rzecze: Kości one suche,*
synu człowieczy — dom to Izraela!
Oto się skarżą: Tracimy otuchę,
snadź nam już zginąć w oną zawieruchę,
co gęstym trupem naszym świat zaściela!

w. 12, 13. *Prorokuj przeto: Mówi Pan nad Pany:*
Otworzę groby wasze i w dzień cudu
na Izraelskie was wywiodę łany,
a kiedy grób wasz będzie rozłamany,
doznacie, żem Ja jest Bóg wasz,—Mój ludu!

w. 14. *I kiedy ducha Mojego w was włożę,*
i gdy was skrzepię, plemię dziś kalecze,
gdy na ojczystym odpocząć ugorze
dam wam — zaprawdę! poznacie w tej porze,
żem Ja powiedział i spełnił. Pan rzecze.

Z PROROCKICH KSIĄG HEZEKIELA PRZEŁOŻYŁ Jerzy Żuławski.

U źródła.



Gdzie?

Nigdzie niema... Przecież błądziłem, chodziłem, szukałem...

Czasami gdzieś na bielonych murach klasztornego korytarza złotem zatańczył obłąkany wieczną tęsknotą słoneczny pocałunek...

Ale to dawno.

Kiedyś też zaiskrzyła się nieziemskim, mistycznym blaskiem sukienka na obrazie Maryi, zaśmiała się tańcem iskierek od hymnów serdecznych...

A wtedy?

Skradał się o świcie, podpatrzył to... Chłodny, blady poranek, rosa, wilgne, chłodne powietrze osmętniło szare mury w litanie zimnych, sierocych łez. Cichy, uśpiony klasztor. Wielki, posępny nieodgadłą ciszą, podwórzec. Dziecko stróża klasztornego tak płacze, płacze... chore,

rachityczne, żółte, zziębłe dziecko... Patrzał... z zamglonych pleśnią czasu, wyblakłych fresków zeszły sędziwe postacie świętych Ojców z dobrotliwym uśmiechem, poczęły zabawiać płaczące, smutne dziecię...

Widział to wyraźnie. Przybiegł zaraz, ale widzenie znikło.

. . . .

Albo kiedyś...

Zmierzchowy spokój, biała toń zadumy kościoła... Ciemno... Gdzieś w nawie żarzy czerwonawą, wyrzutną skargą lampka... Parę ciemnych, słabych, chorych postaci w kątach... Chorągwie drżą od subtelnego oddechu świętych na ołtarzach, na starych, zczerniałych obrazach... i to bez boga, bez hymnu, bez strasznej, prometejowej rozpaczy... jeno ta cicha, bezgłosa zaduma zmęczenia...

Wtedy po raz pierwszy przeczuł czyste, bezpłciowe „To.“

Potem szukał, błądził, tęsknił.

Tak.

Tęsknił do zaklętych, białych, spokojnych jak Śmierć ogrodów, o których prawił mu często fantastyczne baśnie mróz, rysując wielkie, zmrożone ciszą, drzewa na szybach. Wpatrywał się jesienią godzinami w samotniczy, derwiszowy taniec liści, uschłych w wiecznej Tęsknicy...

Jest „To,“ ale on go nie widzi.

Więc szukał.

Nic.

Raz zdawało mu się, że poznał jakiś przelotny, znajomy błysk na różowych ustach śmiejącego się dziewczęcia w skwar letni...

Coś... Coś...

Wpatrywał się, czynił ze swego wzroku myśl... napróżno... Coś marzy mu się, coś błąka w mózgu...

Długie godziny trawił w zadumie przed ponuremi, romańskiemi zamczyskami, co w wielkiej dumie zaskrzepłego milczenia czekają na burze, które umyją strumieniem płomieni zbrukane twarze zmarłych bojowników, witezi i królów, drzemiące na sarkofagach w ich mrocznych wnętrzach. Wpatrywał się w zastygłe twarze gotyckich rycerzy na omszałych, zadumanych smętkiem przeszłości płytach grobowców.

„To“ — uleciało.

A może jest tam, gdzieś głębiej, i trwa, kryjąc swą istotę pod zielonym całunem zapomnienia i pleśni?

. . . .

Niema, nigdzie niema, w ludziach niema, w ich myślach, tworach. Wszystko szare, przeciętne i monotonne, tęczowy dywan myśli człowieczych stał się bezbarwną, logicznie doskonałą przędzą... Tak; sam, zawsze sam: tak być musi. Zamknął się więc w sobie, zasłuchał w jakieś tajemnicze Sfinksy, majaczejące w gwiazdach. Jak jezioro odbił je głęboko na dnach duszy i trwał, zapomniawszy siebie.

Oczy jego stawały się coraz jaśniejsze, jak oczy alkoholika. Upijał się nieledwie przeczuciem idei. Nie starał się brutalnie uświadomić w sobie wyraźnego, bezwzględnie określonego celu. Byłoby to zniweczeniem hołubionej idei. Wiedział, że była tak wiotką i tak jasno, dziecięco zieloną, że zniszczyłby ją, złamał gwałcący strumień karczemnej ciekawości. Dla tego też nie zrywał z niej bladych, mgławych welonów. Kiedyś może zbudzona odbierze mu jego konieczną, sierocą realność wielkim, natężonym krzykiem swego Bytu, ona — Anadyomene! Tak; gdy wzrośnie, spotężnieje w silną, jehowiczną Moc, sama uświadomi się jemu. Tak, objawi się... Wielkie objawienie z siebie.

. . . .

Raz w tłumie wieczorem, w gwarze różnobarwnych świateł i przytłumionego łoskotu wielkiego miasta, uczuł na mgnienie sekundy, że to, to wszystko jest mu tak dziwnie, strasznie znajome. Uczuł raptem, że to, ten czuciowy stan swej duszy, już raz przechodził, czuł tak samo, tak dziwnie jednakowo już raz... już... już...

Z radosnem drżeniem przeczuł, że objawi mu się jakieś jarzące, potężne słowo...

i. . . . .

lecz... lecz...

raptem ściemniło mu się w mózgu, z błyskawiczną szybkością coś zakolowało...

. . . .

zemdlał.

A w nocy, gdy Cisza z wielkich, otchłannych przepaści schodzi na ziemię i slucha długich, miarowych, twardych opowieści zegarów o nędzy ludzkiej, wtedy, pogrążony w jakiś haszyszowy bezmiar, słuchał i czekał kogoś... Czekał Tej, co jest tak arystokratyczna, że nie chce, aby ludzie profanowali ją nazwą...

— — może to Śmierć?

I dziwna, biała, pochylała się nad nim i prawiła mu coś wytężonym wzrokiem...

Czy o tych praojcach, co na łąkach raju tkają ze swych myśli tęcze, by potem opasać tą wstęgą blade czoło kochanki-ziemi?

Śpiewa mu oczami i ustami:

Orle pióra... orle krzyki...

Zimne ciała salamandry, które liże ogień, wiecznie zimne i ciche...

Słuchaj... słuchaj...

Przelęknione oczy królewny (jasne, popielato szare), która, wyszedłszy po nocy poślubnej do zamkowych ogrodów, znalazła łzę, jedną maluchną łezkę na nieruchomych oczach marmurowego satyra...

. . . .

Wiesz? wiesz?

W chorej purpurze zachodu przed cudowną figurą Najświętszej Panienki rozpłakany, siwy faun...

. . . .

Poeta — ty poeta...

Puklerze wielke, a tęgie, a zżarte rdzą... i bisior, poplamiony w królewskim szale krwią i łzami...

I słońce, co ucieka w szalonym, panicznym strachu przez ciemnie, przez głusze wieków, a gubi po drodze krwiste szmaty na nagich czerepach szkieletów. — I ten strach, strach, co zbija tytanów w kłębki... Strach, co wyrasta w noce miesięczne na niepłodnych ugorach szeregiem ostrych, wąskich badyli...

A dziecię ucieka...

W ciemnym łachmanie... do Matki...

A w chacie Matki gromnica stoi, na której Szatan osadził najmniejszą, najbrudniejszą gwiazdkę, tę nikłą i żółtą.

Niech pocieszy...

. . . .

Przed gorączką lśniącemi oczyma chaos, bezład obrazów, wszystko, wszystko... coś błyska... coś idzie... idzie...

Zrozumieć — oh, zrozumieć!

Wytężonym mózgiem patrzał w bezładne tłumy widzeń...

. . . .

W tanecznym, bezładnym, zawrotnym szale bieży

wciąż wszystko, mknie przez myśl — — Życia stopione w sekundach, odwieczne, zapomniane melodye...

. . . .

A harfa gra...

Piekielny chaos melodyi... łąka... wielkie, płaskie, senne liście basów, wiotkie, strzeliste dziewanny fletów mieszają się z drzemiącemi nenufarami trąb... A w to wpełzły, wkradły się, oplotły wszystko — jak kobieta — liany skrzypiec, lubieżne, płaczące, cienkie...

. . . .

Mknie, wszystko wciąż mknie... Złote raje, wyśnione basnie... zamczyska upiorne o świecących ślepiach, w ktorych tęsknią królewny, bladzi krawcy, marzący o wielkiej wojnie... Wszystko otulone w mgławą szatę zapomnienia...

A ona szepcze:

to... to... to...

A potem stapia się wraz ze snami i widzeniami w ciemną sylwetę...

jedna wielka, czarna rysa...

jakby pęknięcie...

co? co?

cicho... czarna rysa... milknie, niknie...

i...

. . . . . .

usnął.

A potem po przebudzeniu żal, głuche, wyblakłe, gobelinowe echa prześnionych szałów. — Sezamy, do których wabiące ścieżki, niby wieczorne wołania prostytutek, widział i słyszał tylko w bezładnych majakach gorączki, — nikły... Szedł zbudzony, znów w życie — szukać.

Obłęd tęsknoty, niewyraźnej, nieokreślonej...

i apatya — — — nieustanna, monotonna apatya życia...

Tak... tak...

Ohydny, wyczerpujący stan przygnębienia, drewnianej, o nieruchomych, martwych, ołowianych oczach, apatyi.

Tracił nadzieję.

Gasła, milkła, to znów z olbrzymią siłą buchała podniecona jakimś przelotnym, migotliwym błyskiem.

Rzucił się gwałtownie do kobiet.

Tak.

Może tam, tam?

Może w nich?.. „To"?.. wielkie „To"? Ich subtelna, czuciowa inteligencya, inteligencya nerwów, przeczuć, sympatyi... Genialna inteligencya mimozy, wyczuwającej rytm świetlanych mórz księżyca... Inteligencya gwiazd, których jasne, kojące promyki całują mroczną, zadumową toń samotniczych, smutnych, niezgłębionych jezior...

A ich melancholijne, sfinksowe uśmiechy?

A liliowa patyna dłoni, białych dłoni złotokosych królewien?

A żalne słowa kochanek, które osiadają rosą wczesnym rankiem przed bitwą na miedzianych tarczach wojowników?

Ale nie, niema... niema...

A może źle szukał? może brutalnością połamał wiotkie lilie? może szałem ognia zniweczył prorocze, sybillowe księgi?

Niema...

Więc gdzie?

Nigdzie?

Jest — musi być, musi . . . .

„To."

A ta harfa, której cienkie struny całowało słońce?

A ten błysk, który ułowił na zardzewiałym, pradziadowskim ryngrafie na ścianie, gdy babka opowiadała sagi Przeszłości?

A ten srebrny lot gwiazd, który wtedy — widział dobrze — zamarł w gasnący, minorowy ton?

A tony pastuszej fletni, które wiją się w siedmiobarwne tęcze?

I ta Tęsknia... żrąca, niszcząca Tęsknia, Tęsknota niemal przedtwórcza, która mu kazała szukać i błądzić?

Ale niema...

Niema...

Wszystko obszedł; w społeczeństwie, w ludziach, nigdzie.

A może źle szukał?

Nie — ależ nie. — Obszedł wszystko, wszystko widział, wszędy pytał. A może jest za brutalny? może jego dusza — ta harfa Eola — ma za grube struny, by na nich mogły zadrgać i zafalować subtelne tajemnice?

Nie.

Przecież ten błysk... przecież czuł, dlatego szukał... A ta Tęsknia, wielka, piekąca jak rana Tęsknia?

„To" musi być gdzieś jednakże.

Nie w twardej nieruchomości społeczeństwa, nie w zmudnej, jednotonnej zegarowości jego — wiedział to, czuł...

Więc może po za niem?

I nie w kościołach. Chciał tam znaleźć Chrystusa, tego, który upijał się ideami w osamotnieniu do takiego stopnia, że zapominał miesiącami o ciele, o pokarmach... tego, którego twarz można widzieć dopiero w obłędnej ekstazie zachwycenia. Tak; po za ziemią, po za życiem chwili.

Marzył o świętem pijaństwie biczowników, narkotyzujących się bólem. Śnił na jawie fantastyczne, dziwne dumy.

Podniecał głodny, zgorączkowany umysł odczytywaniem starych, zapomnianych kronik, annalów, kabalistycznych, proroczych ksiąg. W mózgu snuły mu się umarłe legiony wielkich nostalgistów Przeszłości, tęskniących do

nieznanych, przeczuwanych światów: czyste postacie czcicieli ognia, zimni, o fantastycznem, rozpalonem sercu, żelaźni rycerze krucyat, straszni mocą zolbrzymiałego Ducha fakirzy, adamici, gnostycy, zadumani w gwiazdy astrologowie, alchemicy, ludzie paleni za stosunki z czartem, obłąkani poszukiwacze „perpetuum mobile...“

Marzenia nie wystarczały mu: zaraz gubił wątek swych idei. Szukał więc w życiu. Gdzie?

Gdzie?

Przecież czuł, że jest jednakże „To,“ wielkie, niezawisłe „To.“

Przecież raz mu błysnęło w oczach zdychającego z ran psa...

i tam... i tam...

Męczył się, chorował, denerwował coraz bardziej.

Niema, niema, niema!

Czuł się zmęczonym, złym, rozdrażnionym.



Kiedyś krewni przyszli do jego pokoju. Chcieli, ażeby poszedł z nimi... „gdzieś...“

Coś mówili długo, przekonywająco — nie zważał.

A może tam?

Błysnęła mu jakaś myśl. Wiatr

przeczucia poruszył święte naczynia, wiszące na wielkich dębach: lekki, dojmujący dźwięk...

Coś wkształt małej lampki olejnej zbłąkanej w labiryncie katakumb.

Poszedł bez oporu.

Może???

Zaprowadzono go do wielkiego gmachu o fortecznym wyglądzie.

Mimochodem rzucił okiem na bramę: tablica z napisem: „szpital waryatów.“ Nie zwrócił na to wielkiej uwagi: on przecież był bezstronnym!

Gmach z pozoru nie podobał mu się. Wyglądał jak wszystko, czego nie lubił: tak twardo, doskonale, matematycznie sztywnie i prostokątnie.

Ale wszedł.

Prowadzali go po surowych, sennych korytarzach. Długie, posępne, o sinawem zabarwieniu, skąpo oświetlone tunele. Odgłos kroków brzmiał dziwnie dobitnie, głośno, przykro.

Dudnienie to odczuwał fizycznym niemal bólem pod czaszką.

Jakieś osoby patrzaly na niego oczyma handlarzy.

Nakoniec pożegnano się z nim, ściśnięto parę razy mocno za rękę... Coś mówili... nie słuchał... miny mieli, zda się, rozrzewnione... tak, tak... zauważył nawet łzę w oku żony... zdziwiło go to trochę, zresztą było mu to tak strasznie obojętne. Poszli.

Jakaś sala... Drzwi otwarte, wszedł...

Dużo ludzi.

Takie dziwne ich zachowanie się. Raptem uczuł jakieś wewnętrzne wzruszenie.

Może tu?

„To?“

Podbiegł szybko, pelen jakiegoś radosnego olśnienia

do grupy ludzi. Poczuł odrazu ogromną sympatyę do nich: ich oczy były jak jego... takie dziwnie jasne, radosne, zadziwione... oczy, które nie widzą świata, nie widzą tego, na kogo patrzą, tylko widzą „coś...“

„Coś...“ tam... po za mną... gdzieś głębiej... w czwartym wymiarze...

Coś...

Tak.

Uczuł wewnętrzne, jasne wzruszenie...

Tu... tu... tu...

Jest!!!

Trwożne, slodkie, zapierające dech w piersi oczekiwanie... Poczęli mówić... bezładnie... szybko, gorączkowo... wszyscy... i on...

„To.“

Usłyszał chaos głosów, chaos mów, chaos okrzyków i dum, rzucanych w przestrzeń powstańczo, wielkich pytań, które nie pragną odpowiedzi. W gwarze miliona olbrzymich, despotycznych, królewskich majaczeń na jawie — (są jako storczyki zwierzęce, rośliny obląkane bólem granitu, coś jakby błędne, pijane linie, wśród których szczeka niepokój dziwnej, upojnej woni gwiazd nagich, z szat świetlnych odartych) — wyodrębniały mu się zwolna pojedyncze okrzyki, dumy, wyznania.

Ktoś mówił:

„biedni oni są, biedni — oh tacy biedni ci ludzie!

Odarto ich ze wszystkiego, pozbawiono ich najwyższego szczęścia, potęgi...

Wiesz jak?

czego?

Ongi-m miał wieszczą, olbrzymią harfę, świętą wszech-

światem niewygranych, niezbudzonych pieśni... Harfa — a struny jej złote promyki słońca i czarne umarłych gwiazd... Zły demon porwał mi ją i rozbił w milion warkoczy kobiecych...
i nie mam, nie mam...

Oh, biedni oni są, biedni! Nie usłyszą wielkiej pieśni... moja wieszcza harfa rozstrzelona w milion warkoczy kobiecych..."

. . . .

Szept dziwny, niepokojący wżarł mu się w uszy:
„...umiesz inkrustować smutkiem białe piersi kobiet, powiedz, umiesz?.."

Ktoś pyta:
„możeś przyniósł te szumy i zapytania, które rzucają w kruż twego serca, w przepaść twych dum złote chorały rozmodlonych płodnością łanów? co? mów..."

Tak...

To... To...

. . . .

Ktoś nachylił się do samego jego ucha:

„Czekaj, przyszedłeś... może oni cię przysłali... widzisz... ja ukochałem ludzkość... a wiesz jak? wiesz kto ja? wiesz? „Oni" mówili, żem egoista... zbrodniarz... a — — — ja ci powiem..."

Zgarbiony, chudy waryat nachylił się bliżej:

„Ta ziemia, ten wielki glob... to moje wielkie serce...

Tylko cicho, cicho...

Cichooo — — — "

. . . .

Uczuł wkrąg siebie dziwną, tytaniczną, wyśnioną atmosferę. Jak orle skrzydła biły się wokół niego niezawisłe, nieskrępowane niczem, rozkiełznane idee, wielkie powstańcze dumy, dumy, które już nie pragną odpowiedzi,

tych twardych żerdzi, na których siada zmęczony lotem ptak-idea...

Wielka, wolna pieśń sokołów!

Sokoły dumy, które nie rozumieją żółwiego pełzania realności...

. . .

I te subtelne, nieuchwytne błyski, lekkie jak granie miesiąca na cynowych, krągłych misach, błyski, półmgły, półcienie, których szukał tak długo, długo...

Tak...

To... To... To...

Przeczuł, że wielkie „To" jest tutaj, w tym gmachu, w tych słowach to jego wyśnione „tam."

„Jam prorok... słuchajcie, znalazłem Miłość...

Chcecie, żebym was kochał szalenie, niepodzielnie, potężnie? a więc przedewszystkiem obalcie moje szczęście, ażebym, nie krępowany niczem, więcej zwracał na was uwagi..."

Ktoś mówił:

„Wiesz, wiesz — ja w burzę chciałem porozwieszać haftowane dywany kolorowych baśni na chmurach, by pocieszyć ich, smutnych, bezdomnych ludzi...

„Śmieli się ze mnie," przerwał ktoś, „żem mówił: jestem mgłą, jestem swoim cieniem... a to jest prawda.

Wiesz? wiesz? wiesz?

Ja kazałem swej woli stać się tem; i stałem się, słyszysz, stałem się, bom silny — —

ja — — ja — — jj — — — ..."

„Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Jak huczą...

Szatan splamił... splamił... splamił gorącem tchnieniem białe lilie...
i stały się dzwonami... i zieją rozpacz, hymn, ból...

Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Splamił, splamił, splamił...“

Stłumiony, konwulsyjny, rozpaczny płacz.

. . . .

„hhahhahhaaa...
moje ja uciekło ode mnie... słyszycie? uciekło moje ja ode mnie i ukryło się w nagiem ciele ponętnej, lubieżnej kobiety... i śmieje się ztamtąd do mnie kusząco...

Słyszycie? wy — głusi!

Moje ja uciekło ode mnie! Uciekło ode mnie moje ja!

Słyszycie?

Hahhahaa...“

Śmiech — jakby wielka, pękata bania potoczył się w ciszę.

Uparte, monotonne, jednobarwne powtarzania jednej i tej samej myśli:

„Dwóch nas było: ja i bóg. Ponieważ bóg był zabardzo do mnie podobny, więc zabiłem go, poćwiartowałem jego mięso i warzę teraz w saganie przy ognisku, wyławiając łyżką mocne ekstrakty szczytnych idei, którem mu kiedyś oddał w szale twórczości...
dwóch nas było: ja i...“

„A gdzie ma Tęsknia?

Czy może poszła do tego wielkiego, o błękitnej, zimnej źrenicy jeziora Bólu i myje w niem swe białe, nieskazitelne nogi?..“

Z pośród gęstwy głosów strzela jasną, radosną dziewanną krzyk dumny, świeży:

„Przez monotonne aleje skurczonych, ślizgich, o zielonych, fosforycznych oczach, ropuch Przyczyn i Skutków pędzi, skacząc przez grzędy pokoleń ten włóczęga niewiadomego pochodzenia — Grzech i jego dwa złośliwe, pokraczne mopsy Kara i Pokuta...

Słuchajcie! zabiłem go — teraz wolni jesteście... Raj...“

. . . .

Cichy szept, kobiecy niemal łagodnością półtonów:

„Marzę...

Kiedyś o świcie suchotnicza ma pierś rozpęknie od złotawych, żywicznych tchnień i czerwonym, wijącym się padalcem krwi wpełznie w zieloną trawę boru...

Marzę o śmierci...“

. . . .

Porwał go ktoś za ramię i odprowadził do framugi okna:

„Czy... czy nie mówiły ci czego krwiste maki w ogrodach o mnie? co? co?

A może tyś już skuł w głaz słów namiętny oddech róży, rozkwitłej od kropelki purpurowej krwi, która padła na nią w dzień Wielkiej Bitwy?

A może i ty już umarłeś na dnach kielichów lilii, rozkwitłych w noce miesięczne? Na dnach kielichów lilii, które nie zaznały, co to gorąca nagość słoneczna?

Biedaku: — mów...

No cicho, cicho... nie płacz...“

Ostry krzyk rozdarł ciszę:

„Widziałem Napoleona, tak, widziałem Napoleona wczoraj, jak wieczorem szukał schylony na pobojowisku ostatniej najmniejszej łezki...“

„Hej, hej!

Z tłumu rozżalonych, zahukanych drewnianych bóstw pozbierałem złote uśmiechy, by oddać je kobiecie, mojej srebrnej kochance...

hej, hej!“

„Jam tytan...

Radosny, zwycięzki, migałem czasem przed waszemi oczyma tęgą pawężą Mocy — ja — Attyla, Neron, Janosik, Napoleon...

Ja — tytan!

Lubieżne ciało tłumu, nagą, zmysłową, tarzającą się u mych stóp w obłędnej rozkoszy strachu, Ludzkość łechcę wielką, zapierającą dech w piersiach pieszczotą śmierci...“

„Lazurowe miecze grają wśród mej krwi broczącej...

Ostrzem stali rozjaśniłem posępną, nudną monotonię rytmu swego serca... stałem się lekki przedziwnie i moc swą symbolizuję Ludzkości w zwał trupów wokoło...

A otóż przyszłaś, by śpiewać! Lazurowe miecze grają wśród mej krwi broczącej! i pogarda stali chłodzi gorączkę mych żył.... Śmierć... Śmierć...“

Czuł się rzeźkim, zmartwychwstałym. Znalazł „To“ — wyśnione, upragnione. Ujrzał olbrzymiego, sięgającego gwiazd człowieka... Wszedł jak w dziewiczy las idei, rozrośniętych zuchwale, nieskrępowanych niczem, nawet szczęściem i dobrobytem. Olbrzymi, fantastyczny las idei — jakby wolnych przedhistorycznych widłaków i skrzypów, zalanych zielonawem światłem marzenia. Zamajaczało mu coś, jakby orchidee, złocienie potworne jakieś, obłąkane rokokiem wykwintu, jakieś złote pieśni, które w lasach

muchomorom karły grają... Rytm wielkiej poezyi, łan nastrojów, na którym gra jarzące pieśni szalona fantazya.

. . . .

„To,“ subtelne, wolne, nieodgadłe, wznioślejsze niż modlitwa, niż adorujący oddech kadzielnic. Czuł, że tutaj między nimi znajduje się żywy On — On... Zoroaster... Buddha... Ci, pijani, wielcy pijacy ziemi... Ci, co zrozumieli pierwsi lot ptaków i dali go, zakląwszy w słowa, pospólstwu...

A tam, za murami tego domu są jeszcze kościoły, świątnice mroczne, zimne... „oni“ patrzą na obraziki, na krucyfiksy...

Począł się śmiać cicho, złośliwie, długo...

Znalazł...

„To“ — wielkie, tak długo szukane „To...“

Znalazł.



Jan Wroczyński.



Z księgi przeczuć.

PROLOG.

Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrzność,
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem,
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrzepłem bliższego jest echem...

Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy,
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśćmi złotemi się jarzy
I rzeka nurt stężały obojętnie toczy...

Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń, groźny i zaklęty,
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarły w bezczasie...

Widzę baśń zwierciadlaną, kędy, zamiast słońca,
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa,

Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...

Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę
Przez tunel, pogrążony w zgróz tajemnych krasie,
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarłe w bezczasie...

Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic czuwa,
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny, tu-ówdzie światłem zwypuklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie lśni światełka gwiazda,
Czasem sylwetka głowy zamignie i zginie, —
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jakiś mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —
Zkąd, od kogo? — sam nie wiem! Może z poza światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,

Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy,
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.

STEP.

Wkoło mnie step, chłonący własne uciszenie.
Wicher — rzekłbyś — z księżyca wybiega z szelestem.
Zdaje mi się, żem ziemskie zatracił istnienie,
Że step śni, a ja — stepu snem przelotnym jestem...

Lęk mię chwyta, że ocknie się mój pan uśpiony,
I pierzchnę z jego oczu, ja — chwilowa mrzonka!
Lecz pan mój śpi — a jego sen po nim się błąka, —
Błąkam się, jakbym wpłynąć pragnął w nieboskłony!

Cień za światłem, a światło sunie się za cieniem
Po ziemi, gdzie się w mroku zbłękitnia zieloność.
A tam, do widnokręgów przykuta milczeniem,
Czai się rozszerzona nocą nieskończoność.

GŁUCHONIEMA.

We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewka.
Pragniesz głos jej posłyszeć, gdy patrzy w lazury,
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.
Przyszła do nas z wsi obcej, niewiadomo której.

Nikt nie zna jej nazwiska, ni Snu, co ją stworzył, —
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...
Ja — chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył...

Myślałem, że, gdy w złotym wieczności obłędzie
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny
I zbudzi na jeziorach uśpione łabędzie!..

We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada.
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie, —

Pytam go, co za rzeka? — a on odpowiada:
„Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie...

„Mówią jedni, że Tykicz, drudzy, że Mohiła, —
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Blizka, —
Ja stary wiem, że niema ta rzeka nazwiska,
Co rzece po imieniu, gdy w snach dno zgubiła!..“

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach nietrwały,
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmory
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema
Z duszą do umarłego podobną słowika,
Ta śpiewaczka bezgłośna, lira bez lirnika
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła jak człowiek, co, nie słysząc, słucha —
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi.
Rybaczka! — chciała może złowić sen gołębi,
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha!

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,
Opowie ludziom wszystko, o czem wciąż milczała!

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą.
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna...

Obca sobie i światu, między dniem a nocą
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna...

SAD.

Rozmajaczył się dzisiaj mój sad czereśniowy,
Ku księżycowi ścieżką wytężony krętą.
Noc go czyni podobnym do mrocznej alkowy,
W której drzewa uśpione wraz z ich snem zamknięto!

Rozmajaczył się dzisiaj moj sad... Wszak w południe
Dziewczęta rwały tutaj dojrzałe czereśnie.
Wyszły potem. Owoce, iskrzące się złudnie,
Skryły się w mroku nocy, niby oczy we śnie.

Skryły się w mroku nocy, — ale, idąc sadem,
Czuję wpośród ciemności ich ciężkie zwisanie, —
Czuję czyjeś spojrzenie na mem czole bladem:
Jest ktoś w sadzie, co patrzy i co ma swe trwanie...

Rozmajaczył się dzisiaj moj sad, jakby w sobie
Nie jedną, ale tysiąc nagromadził nocy!

Szybciej krążą drzew soki, ze skrytych owocy
Tryska światło czerwone, lśniąc w mroków żałobie!

I sad moj w purpurowem tonie oświetleniu,
W którem staje się wszystko, co się staje we śnie...
W południe tu dziewczęta zrywały czereśnie,
Wyszły potem...
Lecz teraz w szkarłatnem omdleniu
Widzę tu inne dziewki, cudowne, olbrzymie —
Żądze moje! Ta — spiekłe rozchyliła usta,
Inna własnym warkoczem, slodkim jak rozpusta,
Chłoszcze piersi, — a inna chce szepnąć me imię,
Lecz darmo — obłąkana — szuka go w pamięci:
Zginąłem tam, jak w lubej, ponętnej mogile, —
Dobrze mi tam, — o! lepiej, niżli żyć przez chwilę
Z dziewką, co w głupim tańcu nadziei się kręci!

Sad szumi. Dziewki moje rojnie i gromadnie
W zachwyceniu na wielkie wspinają się drzewa
I rwą złudne owoce, tryskające zdradnie
Ogniem, który tej nocy tak sennie dojrzewa!

Rwą i karmią się chciwie przesłodkim płomieniem,
Wpływającym do piersi, jak do oczu zmora,
Bo ten płomień, choć znika, jeszcze przed zniknieniem
Daje im przedsmak jutra, co przyjść miało wczora...

Ale ja czuję ciągle czyjś wzrok przez otchłanie,
I słyszę wciąż śmiech cichy, szyderczo-żałobny:
Jest ktoś w sadzie, co patrzy, i co ma swe trwanie,
Ktoś, co drwi z moich dziewek... ktoś — do mnie podobny!

LEŻĘ NAWZNAK NA ŁĄCE...

Leżę nawznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali
Zaniósł mię tu i złożył — sam odleciał dalej.
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży!

Wicher włosy mi czesze na rozgrzanej skroni.
Szum w dali niewidzialną kotarą powiewa,
Za którą harem kwiatów lubieżnie omdlewa,
Aż czuję podniebieniem smak trującej woni.

Zdaje mi się, żem skonał umyślnie i ożył,
Przemieniony w szum leśny, albo w szelest łąki,
Co życia nie pojmuje bez wiecznej rozłąki
Z drzewem, z którego powstał, — z kwiatem, co go stworzył.

Zdaje mi się, że mózg mój jest tyglem piekielnym,
W którym słońce swe szały przetapia na złoto,

Żem roztajał oddawna w traw zgiełku weselnym,
Żem się rozsiał po łące, aby wzejść tęsknotą!..

Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,
Oddziela się odemnie, jako woń od kwiatów,
I trwa już ponade mną — i już samo w sobie!

A chociaż ze mnie wyszło — należy nie do mnie,
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych marą,
Do bezkresów, do nieba, jasnego ogromnie,
Co na mnie — niewiernego — patrzy z taką wiarą!..

KABAŁA.

Oto pragnę odgadnąć bieg życia strumieni, —
Dni przyszłe, dni wysiłkiem godzin rozszalałe, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

I, gdy duch mój, prastarą z życiem strudzon waśnią,
W ogniach jasnowidzenia pali snów obiatę, —
Pokój się rozezlaca w zamkową komnatę,
Ja — i wszystko poza mną wnet się staje baśnią!

Z kart głębi, gdzie się tają portrety odwieczne
Czterech dworów królewskich, zaświatowych dworów,
Wychodzą, do odklętych podobne upiorów,
Króle, damy i pazie — cztery sny słoneczne!

Zmarłych dawno czarownic widziadlane syny,
W turkusach i topazach, w jedwabiach i złocie,

W stroju sennym. zawiłym, — ku mojej tęsknocie
Zwracają martwe oczy i ust koral siny!

I, unosząc w swych berłach wieczności promienie,
W kabalistycznym tańcu wirują po sali, —
Damy, jak tulipany, — pazie, jak złocienie,
Królowie, jak lotosy, które żądza pali!

Do tańca gra im zwiewna, dalsza od miesiąca,
Muzyka, wywołana ich stóp wirowaniem,
Melodya, niewiadomo zkąd wypływająca,
Melodya, co trwa kędyś poza własnem trwaniem...

Trwa i śpiewa o bramach, gdzie w progach u celu
Nic nas jeszcze nie czeka prócz Oczekiwania,
O krainach przebrzmiałych, kędy w harf weselu
Sam taniec bez tancerzy upojnie się slania!..

Sam taniec bez tancerzy, sam szał bez przedmiotu, —
Trwa i śpiewa i nagle w oddaleniu kona...
Wraz z nią pierzcha i moja baśń niedokończona,
Sen, wysnuty z niczego, — albo z gwiazd obrotu!..

I znowu dawny pokój, widzę pełny cieni,
Co przed chwilą krył zamku zaklętego chwałę, —
W dłoni mam karty, zżółkłe, jak liście jesieni,
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...

ZAPOMNIENIE.

Czasem, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny, —
Wydaje mi się nagle, żem zapomniał — o czem? —
Nie wiem, — lecz o czemś blizkiem, tajemnem, uroczem...

Możem chciał się pomodlić, wtopiony w przestrzenie,
O nagłe, niespodziane, nieziemskie istnienie,
Ale słowa modlitwy pierzchły w mgły bezdomne, —
I już się nie pomodlę i słów nie przypomnę...

A może śmierć wejrzała ku mnie z podobłoczy,
Kiedy miałem ku życiu zawrócone oczy —
I zapomniałem umrzeć, zapomniałem o tem,
By odlecieć w świat, który wiecznym jest odlotem!

Lub może potajemny rozkaz czułem w duszy,
Abym dom swój opuścił na zawsze wśród głuszy,

A szedł wiecznie w oddale senne, nieprzytomne, —
I zapomniałem, — dokąd, — i już nie przypomnę...

Jest to chwila, gdy Pamięć mimo trwożnej chęci
Pocałunek na czole składa Niepamięci...
Chwila, gdy idę stepem, a noc rzuca własny
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny...

EPILOG.

Bracie, smutny mój bracie! Ty, co słyszysz wiecznie
Echa własnych odjazdów ku mgłom zaistnienia,
Ty, co duszę, stworzoną od Bożego tchnienia,
Chcesz tchnąć dalej — w głąb marzeń, płonących słonecznie,

Gdy skroń twą melancholii klasztornicza cnota
Przykuje do szyb zimnych samotnej komnaty,
Pij truciznę mej pieśni, cenniejszą od złota,
Pieniącą się obłędem wonnym, niby kwiaty!

Dusza twoja w tem życiu, jak księżyc w jeziorze,
Odbiła się, na mgnienie rozjaśniając fale,
Jutro księżyc odpłynie w niewiadome dale,
Jezioro spustoszeje i ciemność je zmoże!..

Odwróć oczy od niego! Spójrz na gwiezdne szlaki,
Któremi iść masz dłużej, niżeli po świecie!

Pij truciznę mej pieśni, — i w tajemne znaki
Swych przeczuć wglądaj zawsze, ufny, jako dziecię!

A oto przykazanie daję ci w żałobie
Z moich marzeń Synaju, gdzie ukryty płonę:
Czyń tak zawsze i dumaj, jak gdyby ku tobie
Oczy wszystkich umarłych były wciąż zwrócone!



Bolesław Leśmian.



Poeta.

Olympian bards who sung
Divine ideas below,
Which always find us young
And always keep us so.

Rzekomi arbitrzy w rzeczach smaku bywają często ludźmi, którzy posiedli po trosze znajomość najsłynniejszych dzieł malarstwa i rzeźby, i mają zamiłowanie do wszelkiej elegancyi, lecz gdy poczniemy badać, czy ich dusze są również piękne, oraz czy ich czyny są podobne do pięknych malowideł, przekonywamy się łacno, że mamy do czynienia z pospolitymi zmysłowymi egoistami. Ich wykształcenie nie sięga poza ciasny zakres, podobnie jak suche polano, pocierane dla otrzymania ognia, rozgrzewa się tylko na jednem miejscu, a na innych pozostaje zimnem. Ich znawstwo w dziedzinie sztuk pięknych polega na znajomości reguł i szczegółów, lub też na ograniczonych sądach w sprawach barwy i kształtu, wygłaszanych dla rozrywki lub pozoru. Jak płytkie są teorye estetyczne naszych miłośników sztuki, świadczy dostatecznie już ta okoliczność, iż, jak się zdaje, zatracili oni doszczętnie poczucie

ścisłej zależności wszelkich kształtów od duszy. W naszej filozofii brak nauki o kształtach. Wkładają nas w nasze ciała, jak żar w panew, gwoli przenoszeniu z miejsca na miejsce, a nikomu przez myśl nie przejdzie, jak ścisłym jest związek duszy i narządów, a tem mniej, że te ostatnie są zawsze wytworami pierwszej. Ludzie inteligentni zgoła już przestali wierzyć w jakąkolwiek istotną zależność świata materyalnego od ducha i woli. Teologowie, gdy im przyjdzie mówić o duchowem znaczeniu okrętu, chmury, miasta, czy traktatu, uważają to za piękną mrzonkę i wycofują się chętnie w takich razach na stały ląd oczywistości historycznej; nawet nasi poeci zadowalają się filisterskim, zrównoważonym trybem życia i piszą swe poezye z wyobraźni, trzymającej się przezornie zdala od ich własnego doświadczenia. Natomiast najwyższe duchy świata nie ustawały nigdy w badaniu dwoistego, a raczej poczwórnego, sto- czy tysiąckrotnego znaczenia wszelkiej pod zmysły podpadającej zjawy: tak czynił Orfeusz i Empedokles, i Heraklit, i Plato, i Plutarch, i Dante, i Swedenborg, i wszyscy wsławieni mistrze rzeźby, malarstwa i poezyi. Albowiem nie mamy nic wspólnego z panwiami, ni urnami z ogniem, ani też nie niesiemy świateł ni pochodni, lecz jesteśmy dziećmi ognia, z niego-śmy utworzeni, a nawet—aczkolwiek tego zgoła nie przeczuwamy—stanowimy tylko odmienną formę tej boskiej siły, formę, która zaledwie o dwie lub trzy przemiany od niej się oddaliła. I właśnie ta utajona prawda, że źródła, z których wytryska cały strumień epoki wraz ze wszystkiemi swemi tworami są w swej najistotniejszej głębi piękne i idealne, skłania nas do rozpatrywania istoty i funkcyj poety, tego herolda piękności, do rozważania środków i materyałów, którymi się on posługuje, oraz do rzutu oka na ogólny stan sztuki w chwili obecnej.

Doniosłość problemu jest ogromna, bo poeta ma zna-

czenie reprezentanta. Wśród ludzi niedoskonałych reprezentuje on człowieka doskonałego i uszczęśliwia nas bogactwem nie swojem, ale świata całego. Młodzieniec czci geniuszów, bo, otwarcie mówiąc, na jego indywidualność więcej złożyli się tamci, niż on sam. On czerpie z tego samego ducha, co oni, ale oni zaczerpnęli więcej. W oczach ludzi kochających, przyroda zyskuje na piękności, gdy sobie wyobrażą, że poeta wraz z nimi patrzy na jej przepychy. On wśród współczesnych sobie stoi odosobniony wraz ze swą prawdą i swoją sztuką, ale ma tę pociechę, że jego dążenia stworzą prąd, który wcześniej lub później wszystkich ludzi ze sobą porwie. Albowiem wszyscy ludzie żyją prawdą i potrzebują się wypowiedzieć. W miłości i sztuce, w skąpstwie i polityce, w zabawie i pracy, usiłujemy wyjawić naszą tajemnicę bolesną. Każdy człowiek jest tylko przez pół sobą samym, drugą jego połowę stanowi wyraz!

A jednak mimo tej potrzeby wypowiadania się, prawie nigdy nie umiemy rzeczywiście się wypowiedzieć. Nie wiemy, zkąd to pochodzi, że wciąż potrzebujemy tłómacza; snadź znaczna większość ludzi podobna jest małoletnim, którzy jeszcze są niezdolni do rzeczywistej samodzielności, lub niemym, którzy swego stosunku do przyrody nie potrafią określić słowami. Niema człowieka, któryby nie przypuszczał, że słońce i gwiazdy, ziemia i woda mają nadzwyczajne cele. Oto są one, oto jeno czekają, aby mu świadczyć szczególniejsze przysługi.

Wszelako w naszym ustroju działają snadź jakieś czynniki hamujące, lub może pierwiastki ospałości, które nie dozwalają mu wywrzeć swej mocy w całej pełni. Wpływy przyrody wstrząsają nami za słabo, aby z nas uczynić artystów. Przy każdem zetknięciu powinnoby w nas coś rozbrzmiewać i wibrować. Każdy z nas powinienby być artystą w tym stopniu, aby przynajmniej w rozmowie

mógł wyrazić, co się w nim i z nim dzieje. Lecz wiemy z doświadczenia, że promienie i wrażenia mają wprawdzie dość siły, aby dotrzeć do zmysłów, lecz niedość, aby dosięgnąć ośrodków ruchowych i objawić się w słowach. Tylko u poety siły te są w równowadze, tylko on jeden przebiega całą skalę doświadczeń i, dzięki swej tytanicznej zdolności przyjmowania i udzielania wrażeń, staje się przedstawicielem całej ludzkości.

Albowiem wszechświat ma troje dzieci, zrodzonych w tym samym czasie, które pod rozmaitemi imionami pojawiają się w każdym systemie filozoficznym, bez względu na to, czy się zowią przyczyną, działaniem i skutkiem, czy poetyczniej Jupiterem, Plutonem i Neptunem, — a które my tutaj mędrcem, działaczem i wieszczem zwać będziemy. Ta trójca reprezentuje miłość do prawdy, miłość do dobra i miłość do piękna. Wszyscy trzej są sobie równi; każdy z nich jest tem, czem jest, istotnie i rzeczywiście, tak że ani przewyższony, ani analizowany być nie może, każdy z tej trójcy zawiera w sobie moce dwóch innych w stanie biernym, a jego własne są czynne i wolne.

Poeta jest wieszczem, głosicielem i reprezentuje piękno. Jest nieograniczonym władcą i stoi w środku wszechświata. Albowiem świat nie jest wymalowany i upiększony, lecz jest piękny od początku do końca. Krytykę naszą skaziły ględzenia materyalistów; ci samozwańczo utrzymują, że fizyczna zręczność i działalność stanowi największą zasługę człowieka, i lekceważą tych, którzy mówią, a nie działają, zapominając, że niektórzy ludzie, a mianowicie poeci, są z natury swojej głosicielami, zesłanymi na świat gwoli wieszczeniu i przepowiadaniu, i mieszając ich z ludźmi czynu, porzucającymi swą dziedzinę, aby naśladować wieszczów. Ależ słowa Homera są dla Homera niemniej boskie i przedziwne, niż dla Agamemnona zwycięstwa Agamemnona. Poeta nie czeka na bohaterów i mędrców,

lecz, podobnie jak oni bezpośrednio czynią i myślą, tak on z pierwszego popędu tworzy i pisze to, co powinno być wypowiedziane, a tworząc, wyznacza im, drugorzędną rolę zjawisk i sług swoich, aczkolwiek oni sami przez się mają pierwszorzędne znaczenie, rolę podobną do tej, jaką odgrywają modele w pracowni malarza, lub robotnicy, którzy dostarczają architektowi materyałów do jego budowy.

Albowiem wszelka poezya była już napisana, zanim czas zaczął istnieć, i jeśli jesteśmy na tyle wysubtelnionemi organizacyami, że możemy dotrzeć do tych sfer, gdzie powietrze jest muzyką, słyszymy owe pierwotne melodye i próbujemy je spisywać, lecz tu i owdzie zapominamy jakiegoś słowa, lub jakiegoś wiersza, a na jego miejsce wstawiamy inne własnego pomysłu i w ten sposób psujemy poemat! Ludzie o subtelniejszym słuchu spisują owe melodye wierniej i ich transkrypcye, acz niedoskonałe, stają się pieśniami narodów. Gdyż przyroda jest tak istotnie piękna, jak jest dobra i rozumna, i wymaga tak samo spostrzegania, jak wypełniania i poznawania. Słowa i czyny jako przejawy boskiej energii są sobie zupełnie równe co do wartości. I słowa są czynami, a czyny rodzajem słów.

Znamieniem i pismem uwierzytelniającem poety jest to, że ma on w sobie rzeczy, których nikt inny przed nim nie powiedział. On jest jedynym i prawdziwym nauczycielem, on wie i umie opowiadać, on jedyny przynosi nam istotnie coś nowego, bo on był obecnym i wtajemniczonym w zjawisko, które nam opisuje. On jest tym, który widzi idee, który wypowiada przyczynę i konieczność. Nie mówię tu o poetyckich talentach, ani o sprytnych i pilnych rymopisach, ale o prawdziwym poecie. Zdarzyło mi się niedawno wziąć udział w rozmowie o jednym z nowoczesnych liryków, człowieku wytwornego ducha, którego mózg zda się istnem narzędziem muzycznem, pełnem słod-

kich tonów i rytmów, i którego biegłości we władaniu językiem nie mogliśmy się dość nachwalić. Wszelako gdy się nasunęło pytanie, czy jest on nietylko wybornym lirykiem, lecz i poetą, musieliśmy wszyscy przyznać, że oczywiście mamy do czynienia z talentem współczesnym, nie zaś wybrańcem wieczności. Bo nie wystrzelał on z naszych nizinnych padołów jak pod równikiem Chimborasso, który ze swej podstawy spalonej żarem słońca, dźwiga się poprzez wszystkie klimaty i strefy ziemi i opasuje swe wysokie, różnobarwne stoki roślinnością wszystkich szerokości; był on raczej podobny do willi pośród nowoczesnego parku, przyozdobionego wdzięcznie fontannami i posążkami, gdzie po promenadach i tarasach przechadzają się i wypoczywają dobrze wychowani panowie i damy. Poprzez zmienną muzykę słów, słyszeliśmy ton zasadniczy naszego konwencyonalnego życia. Nasi poeci są to ludzie utalentowani, którzy śpiewają, nie zaś synowie muzyki. Treść jest dla nich rzeczą drugorzędną, gładkość wierszy główną.

A tymczasem istotę poezyi stanowi nie rytm, lecz treść, która rytm stwarza, — myśl tak namiętna i żywotna, że posiada, podobnie jak dusza rośliny lub zwierzęcia, własną architekturę i wzbogaca przyrodę nowem zjawiskiem. Myśl i forma są sobie równe w istnieniu, ale w powstawaniu myśl wyprzedza formę. Poeta ma nową myśl: ma do obwieszczenia i opowiada nam, co się z nim działo, a cały świat wzbogaca się o jego szczęście. Doświadczenie każdej nowej generacyi domaga się również nowej spowiedzi i świat zdaje się wciąż oczekiwać poety. Przypominam sobie z mej młodości, jak niesłychane wrażenie wywarła na mnie pewnego dnia wiadomość, że młodzieniec, który siadywał w pobliżu mnie przy stole, okazał się geniuszem.

Porzucił swe zajęcie, wędrował po świecie, niewiadomo gdzie, i napisał kilkaset wierszy, ale nie umiał po-

wiedzieć, czy mu się powiodło wyrazić w swych wierszach to, co się kryło w jego duszy: wiedział tylko to jedno, że wszystko wydało mu się zmienionem: ludzie, zwierzęta, ziemia, niebo i morze. Z jakąż radością słuchaliśmy! Z jaką wiarą! Zdało się nam, że dawne społeczeństwo przestało istnieć. Otaczała nas jutrzenka nowego słońca, która miała przygasić blask wszystkich gwiazd. Boston zdał się nam dwa, lub nawet więcej razy, odleglejszym, niż dnia poprzedniego. A Rzym — czem był dla nas Rzym? Plutarch i Szekspir wydali się nam czemś przestarzałem i zbutwiałem, a o Homerze nie było odtąd mowy. Przecież to taka wielka rzecz wiedzieć, że właśnie dnia dzisiejszego, pod tym samym dachem, tuż obok nas powstało dzieło poezyi. Co?! Więc ten przedziwny duch jeszcze nie zanikł? Więc te kamienne źrenice skrzą się jeszcze życiem! A ja myślałem, że wszystkie wyrocznie dawno już umilkły, że ognie przyrody już się wytliły. I oto patrz! Przez całą noc, wszystkiemi porami, napływała znów ta cudna jutrznia! Dla każdego człowieka pojawienie się poety jest wielkiej wagi i nikt nie wie, jak bardzo może go to obchodzić. Wprawdzie wiemy, że tajemnica świata jest głęboka, ale kto lub co ją nam wytłómaczy, tego nie wiemy. Wycieczka w góry, nowy wyraz oblicza, czy nowy człowiek mogą nam dostarczyć rozwiązania zagadki. Wartość geniuszu polega naturalnie na prawdziwości jego wieszczeń. Talent może igrać i żartować, geniusz stwarza nowe wartości. Ludzkość w zrozumieniu swej istoty i swego zadania dotarła już tak daleko, że jej przednie czaty mogą ze szczytów obwieszczać, co dostrzegły. Ich słowa są najprawdziwszemi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, ich wieszczby są dla swej epoki najwłaściwszemi, najmelodyjniejszemi, jedynie nieomylnemi głosami świata.

Wszystko, co nosi miano uświęconych dziejów, stwierdza, że narodziny poety stanowią najważniejsze wydarze-

nie chronologii. Ludzkość, aczkolwiek już nieraz rozczarowana, wciąż czeka na zjawienie się brata, który zdoła zniewolić ją tak mocno urokiem jakiejś prawdy, iż tę prawdę będzie musiała wchłonąć i przyswoić sobie na własność. Z jakąż niewymowną radością poczynam czytać dzieło poezyi, które mi się wydaje naprawdę natchnionem! Oto teraz pękną moje łańcuchy, oto teraz wzlecę ponad te chmury i opary mroczne, wśród których żyję, — nieprzejrzyste, aczkolwiek przezroczami się wydają, — i z niebiosów prawdy ujrzę i przeniknę mą własną istotę, oraz jej znaczenie. Pojednam się z życiem i odrodzę się nanowo, gdy się dowiem, jakto jedna dążność przepaja ogniem i duchem drobiazgi życia, gdy uświadomię sobie swe własne porywy i czyny. Odtąd życie przestanie mi być czczym zgiełkiem, bo odtąd ujrzę męże i niewiasty i poznam znamiona, dozwalające ich odróżnić od błaznów i dyabłów. Przeto ten dzień będzie dla mnie świętszym od dnia narodzin moich: wtedy przyszedłem na świat, a dziś rozlega się wezwanie, abym przeniknął tajń czystego Poznania. Tego oczekuję, ale muszę odroczyć rozkosz spodziewaną. Częściej zdarza się, że ów uskrzydlony człowiek, który ma nieść mnie do nieba, porywa mnie na chmury, skacze i rzuca się ze mną po obłokach, zapewniając bezustannie, że jego droga wiedzie w niebiosa. A ja, jeszcze nieświadom, poznaję dopiero późno i zwolna, że on wcale nie zna drogi do nieba, i że tylko pragnie wywołać we mnie podziw dla zręczności, z jaką, na podobieństwo kury lub ryby latającej, unosi się w pewnej wysokości nad poziomem ziemi, czy wody; ale we wszystko przenikającem, wszystko ożywiającem, przeczystem powietrzu niebios on nigdy nie zamieszka. Przeto staczam się znowu w głąb' mego starego zakątka, i po dawnemu wiodę życie opacznie, utraciwszy wiarę w istnienie przewodnika, któryby mnie do celu mych życzeń mógł doprowadzić.

Lecz zostawmy w spokoju te ofiary własnej próżności, i, zaczerpnąwszy otuchy na nowo, przyjrzyjmy się, jak z pomocą szlachetniejszych bodźców upewnia się przyroda, że poeta dochowa wiary swemu posłannictwu wieszczenia; temi bodźcami są niepoliczone postacie piękności świata, która raz objawiona, staje się pięknością nową i wyższą. Przyroda nastręcza poecie wszystkie swe twory jako mowę symbolów. W każdej rzeczy, zużytkowanej jako symbol, objawia się drugie, przedziwne znaczenie, o wiele cenniejsze od pierwszego, właśnie jak w silnie napiętej linie cieśli, co gra słodko na wietrze, gdy przyłożymy do niej ucho. „Rzeczy, stokroć wspanialsze od wszelkiego obrazu, bywają wypowiadane przez obrazy“ — mówi Jamblichus. Rzeczy dają się stosować jako symbole, bo przyroda sama jest symbolem, zarówno w całości, jak w każdej swej części. Każda linia, którą kreślimy na piasku, ma swe znaczenie, i niemasz ciała, które byłoby pozbawione właściwego sobie ducha, czy geniuszu. Wszelka forma jest wytworem charakteru, każda sytuacya w życiu wynikiem sposobu życia, a wszelka harmonia następstwem zdrowia. Podstawą piękna jest konieczność. Duch kształtuje ciało, jak mądrze powiada Spencer:

So every spirit, as it is more pure,
And hath in it the more of heavenly light,
So it the fairer body doth procure
To habit in, and it more fairly dight,
With cheerful grace and amiable sight.
For, of the soul, the body form doth take,
For soul is form, and doth the body make.

Tu dostajemy się naraz z wygodnych ścieżek spekulacyi krytycznej na święty grunt, po którym należy kroczyć przezornie i z czcią wielką. Oto stajemy przed ta-

jemnicą świata — tam, gdzie przeistacza się Jaźń w Zjawę, a Jedność w Wielość.

Wszechświat jest eksternizacyą ducha. Ten objawia się wszędzie, gdziekolwiek jest życie. Wszelka nasza wiedza jest wiedzą zmysłów i dlatego powierzchowną. Ziemię i ciała niebieskie, zjawiska chemiczne i fizyczne badamy zmysłami, jak gdyby istniały same przez się, gdy tymczasem tworzą one jeno orszak naszej jaźni. „Wspaniałe niebo — powiada Proklus — ukazuje w swych transfiguracyach wyraźne obrazy przepychu intelektualnych uświadomień, pozostające w ścisłym związku z utajonemi okresami w życiu uduchowionych natur.“ Dlatego wiedza stoi zawsze na tym samym poziomie, co człowiek, i w swoim rozwoju dotrzymuje kroku religii i metafizyce, czyli innemi słowy: stan wiedzy jest wskaźnikiem naszego samopoznania. Ponieważ wszystko, co w przyrodzie istnieje, odpowiada pewnej sile duchowej, przeto jakieś zjawisko może tylko tak długo i dlatego być niepojętem i ciemnem, że w badaczu dotycząca zdolność nie stała się jeszcze siłą czynną.

Przeto nic dziwnego, że z uczuciem świętej grozy zawisamy nad takiemi głębiami. Piękność baśni świadczy poecie, oraz wszystkim innym, o ważności jej znaczenia; lub, wyrażając się inaczej, — każdy człowiek jest poetą o tyle, o ile zdolen jest do odczuwania tych czarodziejskich sił przyrody, albowiem we wszystkich ludziach tają się myśli, których przebóstwienie tworzy wszechświat. Mnie się zdaje, że cały czar zamyka się w symbolu. Kto kocha przyrodę? Kto jej nie kocha? Czy tylko poeci i ludzie wykształceni obcują z nią w chwilach wytchnienia? Nie, lecz także strzelcy, chłopi, fornale i rzeźnicy, aczkolwiek miłość do niej objawiają w wyborze zawodu, a nie w doborze słów. Uczony zastanawia się ze zdziwieniem nad tem, co właściwie stangret lub strzelec ceni

tak bardzo w jeździe konnej, psach i koniach. Rzecz prosta, nie powierzchowne ich właściwości. Pomówmy z którym z nich, a przekonamy się, że te są dla nich niewięcej warte, niż dla kogobądź innego. Ich zamiłowanie wynika z bujnej sympatyi, która ich z temi rzeczami wiąże; nie umieją oni tego wyrazić, lecz poddają się kierownictwu żywej siły, której obecność w przyrodzie przeczuwają niejasno. Żadne naśladownictwo, żadna igraszka z temi rzeczami nie potrafiłaby ich zadowolnić; oni lubią surowość wichru, deszczu, lasów, skał i żelaza. Piękność niepojęta jest cenniejsza od tej, której zakres i trwanie da się przewidzieć. Symboliczna to strona przyrody, przyroda to, dająca zapewnienie świata nadprzyrodzonego, ciało, rozkwitłe nadmiarem życia, jest przedmiotem ich prostackiego, lecz szczerego uwielbienia.

Gorącość i tajemniczość tego głębokiego przywiązania zniewala ludzi wszelkich stanów do posługiwania się znakami i emblematami. Szkoły poetów i filozofów nie są bardziej oczarowane swemi symbolami, jak pospólstwo swojemi. Dość zastanowić się nad ogromnem znaczeniem odznak i emblematów w naszem życiu politycznem. Na przykład, ta wielka kula, którą toczą z Baltimore do Bunker Hill! Albo polityczne manifestacye, podczas których Lowell paraduje ze swym warsztatem tkackim, Lynn ze swym trzewikiem, a Salem z okrętem! Lub te beczki do wina, blokhauzy, gałązki orzechowe, palmy karłowate, i niezliczona mnogość innych godeł partyjnych! A cóż dopiero, gdy uprzytomnimy sobie potęgę emblematów narodowych! Kilka gwiazd, lilij, lub lampartów, jakiś półksiężyc, lew, orzeł, lub inne wyobrażenie, które, Bóg wie, w jaki sposób doszło do takiego znaczenia, nakreślone na starym strzępie flagi, targającej się z wichrem na szczycie fortu w jakimś zakątku ziemi, może zażedz krew najbardziej prostackiego i najpłytszego człowieka. Ludzie wyobra-

żają sobie, że nie cierpią poezyi, a sami są wszyscy poetami i mistykami!

Prócz powszechności symbolicznego języka, boskość owego szczytniejszego użytku rzeczy — (przezeń świat staje się świątynią, której mury są pokryte godłami, wizerunkami i przykazaniami bóstwa) — przejawia się także w tem, że niema zjawiska w przyrodzie, któreby nie zawierało w całości ducha przyrody; albowiem wszystkie nasze podziały faktów i okoliczności, na wysokie lub niskie, zaszczytne lub hańbiące, wnet zanikają, gdy poczniem pojmować przyrodę symbolicznie. Wszechprzenikająca idea uświęca użytek wszystkiego; słownik wszechwiedzącego człowieka obejmowałby słowa i powiedzenia, wyświecone z języka salonów. Słowa płaskie, lub nawet sprośne dla sprośnika, mogą stać się szczytnemi, gdy wejdą w skład nowego myśli powiązania. Wzniosłość proroków hebrajskich każe nam zapominać o ich prostactwie. Obrzezanie jest przykładem, że potęga poezyi uszlachetnia nawet to, co poziome i gorszące. Drobne, niepozorne rzeczy są tak samo przydatne jak wielkie symbole. A nawet, im mniej znaczącym jest symbol, przez który wyraża się jakaś prawda, tem skuteczniej wraża się ona, tem dłużej przetrwa w pamięci ludzkiej, podobnie, jak do przechowania niezbędnych przyrządów, które zwykliśmy nosić przy sobie, wybieramy najmniejszą szkatułkę, czy skrzynkę. Umysłom, wyposażonym rzutkością i wyobraźnią, regestra niepowiązanych ze sobą słów nasuwają nowe idee. Opowiadają o lordzie Chatham'ie, że czytywał słownik Bayle'a, gdy miał zamiar przemawiać w parlamencie. Najzwyklejsze doświadczenie jest tak szczodre, że może przyjść z pomocą przy wypowiadaniu myśli. I pocóż ta nieustanna tęsknota do poznawania wciąż nowych szczegółów? Dzień i noc, dom i ogród, trochę książek i trochę czynów dają nam to samo, co wszelki przemysł i wszystkie osobliwości. Do

wyczerpania treści tych nielicznych symbolów, któremi się posługujemy, jeszcze nam daleko. Możemy dojść do tego, że będziemy ich używali ze straszliwą wręcz prostotą. Wiersz nie powinien być długi. Niegdyś każde słowo było poematem. Każdy nowy stosunek stwarza nowe słowa. Nawet błędów i potworności używamy do świętych celów, i przez to stwierdzamy, że zło tego świata tylko złemu oku złem się wydaje. Starożytna mitologia nawet bóstwom przypisywała ułomności, czyniąc Wulkana kulawym, Kupida ślepym, i t. d., aby przez to wyrazić nadmiar i obfitość w innym kierunku.

Rzeczy wydają się brzydkiemi jedynie wskutek rozluźnienia i osłabienia spojeń, łączących życie z bóstwem, a poeta, który zespala je znów z przyrodą i wszechnością, który dzięki głębszemu wniknięciu jedna z przyrodą nawet sztuczne i wręcz jej przeciwne rzeczy, — z łatwością umie sobie radzić z biegunowo niezgodnemi przejawami. Czytelnicy, obeznani z dziełami poezyi, patrząc na wieś fabryczną, lub kolej żelazną, wyobrażają sobie, że one przynoszą uszczerbek poezyi krajobrazu, — bo te rzeczy nie zostały jeszcze w ich lekturze uświęcone przez sztukę; natomiast poeta dostrzega łacno, że z wielkim wszechładem godzą się one równie dobrze, jak ul pszczelny, lub misterna sieć pająka. Przyroda bardzo rychło chłonie je w obręb swych kręgów żywotnych i kocha w dal pędzący pociąg niemniej od własnych tworów. A przytem jasnym i skrystalizowanym umysłom niezbyt imponują wynalazki mechaniczne. Choćbyście do istniejących już przydali milion nowych i najbardziej zdumiewających, nie pomnożycie przez to istoty mechaniki ani o jedną drobinę. Duchowe znaczenie powstaje niezmienione bez względu na ilość szczegółów, podobnie jak niema góry tak wysokiej, aby zdołała przerwać krzywiznę kuli ziemskiej. Sprytny chłopak wiejski przybywa po raz pierwszy

do miasta, i zarozumiały mieszczuch gorszy się, że przybysz niedość słupieje z podziwu. Nie dlatego, aby tych pięknych domów nie widział, lub nie wiedział, że podobnych nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać, lecz poprostu z tego powodu, iż załatwia się z niemi równie łatwo, jak poeta znajduje miejsce na kolej. Główna wartość nowej rzeczy polega na podniesieniu wielkiego i stałego momentu życia, wobec którego karleją wszystkie inne przejawy, dla ktorego pas Indyanina i cały handel Ameryki mają równe znaczenie.

W ten sposób świat podlega duchowi jako słowo i jako rzeczownik, lecz tylko poeta potrafi tą mową władać. Bo, aczkolwiek życie jest wielkie, pełne czarów i głębin, aczkolwiek wszycy ludzie rozumieją symbole, któremi się ono wyraża, — przecież nie wszyscy mogą posługiwać się niemi samodzielnie. Jesteśmy symbolami i zamieszkujemy symbole; robotnicy, praca i narzędzia, słowa i rzeczy, narodziny i śmierć, to wszystko tylko symbole; lecz my za bardzo przywiązujemy się do tych symbolów i, opętani zwykłem, ekonomicznem znaczeniem rzeczy, zapominamy, że one są ideami. Poeta, który głębiej wnika w istotę rzeczy, użycza im siły, dozwalającej zapomnieć o ich dawnem znaczeniu, obdarza nieme i martwe przedmioty oczyma i językiem. On rozumie niezależność idei od symbolów, niezmienność idei, przypadkowość i niestałość symbolów. Podobnie jak wzrok Lynkeusa przenikał ziemię, tak samo poeta zamienia świat w szkło przejrzyste i ukazuje nam właściwy ład i następstwo wszechrzeczy. Albowiem dzięki swemu lepszemu poznaniu jest on im o jeden krok bliższy, widzi ich falowanie i przemiany, wie, że wszelka idea jest wielopostaciową, że w kształtach każdego tworu tai się moc, zniewalająca go do zdobywania wyższej formy, i tak śledząc stawanie się życia, posługuje się temi samemi formami, w których to życie się przejawia, wskutek

czego słowa jego płyną wraz z nurtem przyrody. Wszelkie przejawy biologiczne, jak płeć, odżywianie, ciąża, narodziny i wzrost, są symbolami przejścia świata w ducha człowieczego, aby w nim uledz przemianie i ujawnić się znów w nowem, doskonalszem znaczeniu. Poeta posługuje się kształtami, odpowiadającemi życiu wnętrznemu, nie zaś czczej formie. To jest prawdziwa wiedza. Tylko poeta zna się na astronomii, chemii, wzroście roślin i biologii, bo, nie zatrzymując się przy objawach, zastosowuje je jako symbole. On wie, dlaczego przestwór niebieski jest usiany kwiatami, które my słońcem, księżycem i gwiazdami zowiemy; dlaczego w bezdennych głębiach mrowią się zwierzęta, ludzie i bogowie; bo z każdem słowem, przez siebie wypowiedzianem, dosiada on ich jako rumaków ducha.

Mocą swej wiedzy, poeta jest nomenklatorem, twórcą mowy, który rzeczy mianuje bądź to wedle ich przejawów, bądź też wedle ich istoty, który każdej z nich nadaje właściwą jej nazwę i przez to wprawia umysł w ów zachwyt, jaki przy stosownym rozdziale i rozgraniczeniu zazwyczaj odczuwamy. Poeci stworzyli wszystkie słowa, a język to nietylko archiwum dziejów, to poniekąd i Muz grobowiec. Aczkolwiek początek przeważnej ilości słów zanikł już w zapomnieniu, to przecież każde słowo było niegdyś błyskiem ducha, skrą geniuszu, i dlatego dostawało się w obieg, że w swoim czasie symbolizowało świat temu, który je wypowiedział, i jego słuchaczom. Etymologowie utrzymują, że doszczętnie zmartwiałe słowa były ongi świetnemi obrazami. Język, to poezya kopalna. Podobnie jak wapień lądów stałych powstał z niezliczonej mnogości skamieniałych skorupiaków, tak samo język składa się z obrazów i przenośni, które swój poetyczny początek zdawna już w pochodnem znaczeniu zatraciły. Lecz poeta nadaje rzeczy właściwą nazwę, bo ją widzi, bo jest jej

o krok bliższym, niż ktokolwiek inny. To nadawanie wyrazu, to mianowanie nie jest sztuką, lecz wtórą przyrodą, która poczyna się z pierwszej, podobnie jak liść z drzewa się poczyna. To, co zowiemy przyrodą, jest regulującym się samoistnie ruchem i zmianą; przyroda dokonywa wszystkiego własnoręcznie i nie pozwala chrzcić się nikomu, lecz chrzci się sama, a to znów dzieje się przez metamorfozy. Przypominam sobie, że pewien poeta opisał mi to w następujący sposób:

„Geniusz jest to czynność, zapobiegająca zanikowi rzeczy bez względu na to, czy są one — w całości, lub w części—materyalnej i znikomej natury. Przyroda zabezpiecza siebie samą we wszystkich swych dziedzinach. Nikt nie troszczy się o rozmnożenie marnego grzyba: przeto on rozsiewa wokoł siebie niezliczone mnóstwo zarodków, z których jeden jedyny wystarcza, aby jutro lub pojutrze wytworzyć nowe biliony zarodków. Nowy grzyb w ten sposób powołany do istnienia, może mieć korzyści, których poprzedni nie miał. Oto zarodek jego posiewu pada na nowe miejsce, nie narażone na działanie przypadku, który opodal zniszczył jego rodziciela. Przyroda stwarza człowieka, a gdy ten dojrzeje, odszczepia od niego nowe istnienie, aby nadal uniknąć niebezpieczeństwa, że swój twór cudowny naraz postrada; w ten sposób chroni gatunek przed wypadkami, na które są wystawione jednostki. Podobnie, gdy dusza poety osięgnie swą dojrzałość, przyroda oddziela od niej utwory i pieśni, to nieśmiertelne, snu ni spokoju nie znające, na zmienne losy czasu nienarażone potomstwo, tę śmiałą żywotną gromadkę dzieci obdarzonych skrzydłami, — (tak wielka była moc duszy, która je poczęła), — na których unoszą się chyżo i daleko i zagnieżdżają się przemocą w duszach ludzkich. Im bogatsza i piękniejsza jest dusza poety, tem potężniejsze są te skrzydła. I tak ulatują nieśmiertelne pieśni od swego

śmiertelnego twórcy, a za niemi podążają hałaśliwe chorowody lżących krytyk, które roją się w daleko większej ilości i czyhają, aby je pochłonąć; lecz krytykom brak skrzydeł. Po krótkim locie spadają one na ziemię i gniją, bo dusze, z których się poczęły, nie wyposażyły ich pięknemi skrzydłami. A melodye poety wzlatują potężnie w górę i wdzierają się w głębie nieskończonego czasu.“



(Dokończenie). Ralph Waldo Emerson.

Jąłem ścigać jak w snach pierzchające pobiały,
Pierzchające pobiały mroczącego się dnia;
Na wieżycy-m szedł gmach, i pod nogą mi drżały,
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.

A gdym stąpał tak wzwyż, coraz jaśniej w oddali,
Coraz jaśniej w oddali kontur znaczył się gór,
I od nieba i ziemi, z napowietrznej mi fali,
Z napowietrznej wkrąg fali jakichś dźwięków bił chór.

Im krok wyżej mię niósł, tem gorętszą pozłotą,
Tem świetniejszą pozłotą wyżni sennych lśnił wierzch,
Zdał się żegnać tą jaśnią, niby długą pieszczotą,
Niby tkliwą pieszczotą wzrok tulący się w zmierzch.

I tam w dole pode mną już noc ziemię zalała,
Już noc ziemię zalała, świat pogrążył się w śnie,

A mnie jeszcze jaśniała płomienista dnia chwała,
Przesłoneczna dnia chwała konająca we mgle.

I, jak ścigać, tu-m zgadł, pierzchające pobiały,
Pierzchające pobiały zmroczniałego już dnia,
I stąpałem wciąż wzwyż, i pod nogą mi drżały,
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.



PRZEŁOŻYŁ Miriam. K. Balmont.

Widzenia.

I.

I mijały czasów ogromy, i przestrzeń nikła bez śladu, w jeden nurt nieskończoności zlana.

A ogromne kręgi słońc malały wobec braku widza i oceny... i przewijały swe potężne cielska martwo, z biernem poddaniem i pokorą...

A na skorupie ziemi lasy w górę wywodziły rozkręcone bolem ręce, modląc się, aby nadal mogły żyć wrośnięte w ziemię, nieruchome...

Zwierzęta podnosiły oczy, nie wiedząc nic ponad zwierzęcość...

A i ludzkie kretowiska wrzały zgiełkiem natarczywych starć atomów, natarczywych, pilnych zepchnięć w nicość, uporczywych trosk, małostek...

Tu i owdzie stał marzyciel, stał myśliciel, patrzał w gwiazdy, wyroku czekał i, zwarłszy boleśnie ducha, gotował się do odlotu w pełny stan istnienia...

A tysiące istot przygotowanych na nicość, ze zwierzęcą namiętnością nicości żądnych, plugawiących się rozmyślnie lub świadomie... nikły jak śnieg na wiosnę...

A wiosna nowe przynosiła życia, nowe ziarna, nowe głosy...

I te szły i nikły...

I nie było końca, we wszystkiem tem nie było końca...

Wszystko musiało iść za niewidzialnym wodzem, nieugiętym, wszechpotężnym...

I nie było końca w tem, nie było końca... Z nicości szedł byt, zapadał w nicość... lub znowu szedł promienny, bólem okrwawiony, błogosławiący swoją krew i rany...

II.

Takie pogodne, jasne, promienne było niebo!..

Złotemi smugami spływały jakieś powiewy zaświatów i żeglowały przez błękity...

Zahaczone tu i owdzie o siną nieba kotarę białe obłoki wisiały nieruchomo, jak srebrne tarcze, kwiaty, girlandy...

Korony drzew z przedziwnym taktem zachowywały się milcząco, spokojnie, majestycznie wobec sinej kopuły nieba...

Woda jakby zaniemiała z zachwytu i prosiła, aby mogła być chociaż zwierciadłem, któremu wolno cuda te odbijać...

A niebiosa zgadzały się na to chętnie i jak rozkosznica czar-dziewica, srebrnopucha niebieskooka dziewica, z niedbałym wdziękiem przeglądały się w wodzie...

Zdawało się, że nic nie powinno byłoby mącić tej ciszy, ale nie...

Oto — najpierw jastrząb chciwie porwał gołębia, białego jak śnieg, i niósł go z bezczelnem urąganiem ponad wodami, które zmarszczyły się groźnie, nie chcąc odbijać tej ohydy...

Ale niebawem woda stała się jeszcze groźniejszą, niż gdy odbijała przez chwilę mord jastrzębia, bo oto dziecko o przecudnej twarzyczce anioła stoczyło się w jej nurty...

— Ehe... he... kiedy woda tak sobie figluje, to możebyśmy i my się pobawiły... — mówiły obłoki — i zaczęły się skupiać jak srebrnopióre ptaki w jedno stado ogromne.

I drzewa pozazdrościły obłokom i zaczęły szumieć groźnie, wyzywająco.

Niebawem szum zawichrzył ciszę i, przechodząc w groźne pomruki i wrzaski i bełkotania, niósł za sobą burzę.

Ta w jednej chwili zamordowała ciszę i zwycięsko ujadała piorunami nad martwą, urągając i złorzecząc jej...

A drzewa jeżyły grzbiety jak psy i woda bełkotała, urągając ciszy.

Grom po gromie zahuczał... i pożar wsi odbił się krwawą barwą na granatowej nieba oponie...

Jeszcze tam więcej było jęków, huków, grzmotów, targań...

Nietylko gołąb i dziecko mogły narzekać na swój los.

Tylko, że dziecina uspokoiła się na łonie Boga... a po warkotach i wrzaskach burzy przyszła jeszcze większa cisza, po której przeszło znowu wiele burz i nastała znowu cisza.

III.



orwało go coś i uniosło...

Z tej ziemi, gdzie wszystko jednakie i niezmienne, choć się zmieniające...

I był w takich światach, których język ludzki, dlatego że ludzki, nie oddaje, którego myśl ludzka dlatego, że jest ludzką, nie rozumie...

Od chwili, gdy to widział — we dnie czy na jawie, dość że widział—zmienił się, nie narzekał na ziemskie troski i bóle... ale wciąż tęsknił do krain tych przedziwnych nieskończenie i nieskończenie uroczych...

Chciał się nieraz podzielić swą tajemnicą... Ale — napróżno...

Wstydził się nieudolnych znaków, któremi miał wyrażać tę przedziwną treść...

I nie próbował więcej, i ogarnęła go słodka tęsknica — melancholia...

Wybladły, chwiejąc się, ledwo stąpał po ziemi, otchłanią smutku patrząc na ziemię i jej sprawy...

I tak raz umarł w zachwyceniu i tęsknocie, zgasł jak świeca, przez wicher zdmuchnięta...

Nikt nie płakał nawet po nim, bo się od wszystkich oddalił...

Ale i on sam pewnie, w tych swoich krainach ukochanych, nie płacze za ziemią, albo jeżeli płacze, to — żeby i inni — biedni, w tę otchłań nędz wlepieni, mogli się do nieskończenie uroczych i dziwnych krain przedostać...

IV.

Skoro tylko ze zwierzęcą siłą wybuchnął w nim żar namiętności — zmienił się ogromnie...

Z bladego, cichego marzyciela wyrastał filuterny cynik, z cynika — brutal, z brutala — wiarołomca i bluźnierca...

Z dzikim chychotem zaprzepaszczał swą duszę, chłepcąc z rozkoszą słodki jad zwierzęcości...

I nie widział przed sobą innego celu, innych zadań, prócz celów i zadań zwierzęcości...

Z płaczem przelatały nad nim zbawcze anioły, a chychot szatana był radości pełen...

I pokazywał mu szatan swoje państwa, pełne wspaniałości i przepychu... Srebrnemi gwiazdami wśród sinych przestrzeni błyskały światła-kwiaty... Jak ogromne

muszle przejasne, piętrzyły się góry w oślepiających blaskach...

A w dali huczał złoty ocean i nurzały się w nim przewspaniałe nimfy... a lasy, granatowo-purpurowe lasy, pełne były śpiewu nagich syren...

I już miał zgodzić się na zatracenie wiekuiste duszy, gdy wtem nagły, dziwny, straszliwy ból chwycił go w swoje kleszcze...

Wstręt wstrząsnął nim, wstręt do samego siebie...

I nagle dusza poczęła protestować z całych sił i wołać o ratunek, o pomoc do wiekuistego źródła przebaczenia, do Zbawcy...

I poszedł do Zbawcy po przez ciernie, krwawiąc stopy... i bity i kąsany przez harpie sumienia...

A szatan wykroił dla siebie zakażone zwierzęcością części i rwał je i targał...

I chciał powrócić do szatana i do tych części swoich...

Ale głos Zbawcy był silniejszym nade wszystko...

I kurcząc się i płacząc... szedł męką rwany...

V.

Już kilka tylko gwiazd na niebie oczekiwało w popłochu i trwodze swego losu.

Świt oślepiająco jasną nogą wszedł już na ziemię.

Aż dziwiły się ptaszęta, że tak krótko trwała noc, i ćwierkały bojaźliwie i niepewnie.

Woda także bulgotała niepewnie i przecierała ze snu oczy, które świt rozjaśniał.

Aż świt spłonął krwią.

Na łozy, oczerety, na dalekie smugi łąk poszedł blask czerwony.

Wkrótce potem wyzłocona, jasna ziemia kąpała się w blaskach słońca.

VI.

Jeszcze wlepiali bezdennie smutny, badawczy wzrok w trumnę, gdzie leżał ich ukochany... Jak wygląda — po raz ostatni, po raz ostatni, najostatniejszy?

Może choć jednym uśmiechem, drgnieniem wypowie dusza, gdzie jest, czy dobrze jej, czy źle?..

Umarły nie odpowiadał nic. Był tylko bardzo blady, spokojny, sztywny.

Wyglądał jak dumny dyplomata, który nosi ze sobą tajemnicę gabinetu, i nie może się zwierzyć, i nie chce się zwierzyć.

A takby chcieli, żeby choć raz jeszcze ostatni do nich przemówił, tym dobrym, cichym, łagodnym głosem... och, po raz ostatni!..

I nic, nic, nic więcej... Oni byliby nazawsze szczę-

śliwi, uspokoiliby się zupełnie, byliby nawet weseli, gdyby po raz ostatni przemówił.

Ale umarły nie odpowiadał nic.

I wystawili sobie, że przecież są krainy inne, jakieś przezroczo-śpiewne równiny, kwiatami, czy nie-kwiatami zasłane, pełne złotych nurtów wód czy nie-wód, dość, że jakieś tam rzeczy-nierzeczy są, być muszą, muszą, bo i ból ma przecie kres...

I gdy mgła smutku dokoła wszystko zasnuła, ujrzeli krainy jakieś, krainy przedziwne, których za życia jeszcze nie oglądali, ale które razem z ukochanym zmarłym zawsze, zawsze oglądać będą.

I to ich tak uspokoiło, że patrzyli na zmarłego, jak na odzież, którą ten zrzucił, aby pójść do tych przecudnych krain, ubrany inaczej, dziwnie, gwiaździście, promiennie.

I tylko — kiedy ból się zmniejszał i nie widzieli tych krain przecudnych, chcieliby, ażeby zmarły po raz ostatni przemówił, po raz ostatni, najostatniejszy.

VII.

A zmiarkować nie mogli, kto był winien.

Wszyscy może byli winni, może — nikt.

W każdym razie, jeśli się stał grzech, nieszczęście, trzeba było radzić.

Radzono więc.

Ale nic uradzić nie mogli, byli coraz bezsilniejsi, w miarę im głębiej zapuszczali się w dociekanie przyczyny.

Nie zrażali się tem i z coraz większą zaciekłością szukali wątku.

Ale napróżno, napróżno!

Najwinniejszy był bez winy, najbardziej niewinny — winnym.

A przyczyna była. Życie wrzało dookoła i niosło

nurty ożywcze lub zabójcze, niosło truciznę i lekarstwo, troski i radości.

Słońce błyszczało wciąż nieniknącą siłą, i rozpalało nowe ognie życia.

Noce granatowe, gwiaździste przechodziły tłumem po nad ziemią.

A ona wirowała wciąż koło słońca, posłuszna woli Przedwiecznego.

Aż jednego razu usłyszeli jakiś głos z oddalenia:

Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni.

I nie sądzili i nie narzekali, ale szmerem modłów gorących dochodzili przyczyny i winy.

A życie wciąż łkało swemi bólami.

VIII.

A kochali się tak dziwnie, że każde słowo było im zbyteczne.

Błyskawicami spojrzeń mówili wciąż do siebie.

I nie mogło w tej miłości być nic zabawniejszego nad to, że, kochając się tak mocno, nie kochali się wcale, ale byli w sobie, bo byli jednacy, bo byli dwoma białymi jednakimi duchami.

Nie czuli potrzeby ani jednym pocałunkiem powiedzieć sobie o swej miłości, a w istocie — jedności.

A najgorsze było to, że ciała przeszkadzały im się rozpoznać, więc pełni byli błędu, czyli miłości...

Aż nadeszła taka chwila, w której dowiedzieli się o swym błędzie... że grzeszyli miłością, póki ludźmi byli, a potem...

A chwilą tą była śmierć...

Po śmierci już dowiedzieli się, że miłość, sama z siebie, z Boga i w Bogu jest, a uwielbiać siebie zobopólnie i wzajem siebie kochać, czyli kochać się — to rzecz tylko ludzka.

IX.

Stali jak oczarowani, oniemiali. Słońce lało na nich złote żaru potoki, a oni stali i patrzyli w dal.

Nie bali się niczego... nie bali się żaru słońca, i ani jednego dźwięku nie chcieli wydać.

Naradzali się w skupieniu, co czynić. Bez słów i myśli zrozumieli w końcu, że tu im przeznaczono stać i czekać.

Tu... tu... wśród tego żaru słońca, niepewności, niemego podziwu, jednostajnej, wszystko przenikającej tęsknoty.

Cmentarze nie są tak smutne, jak smutni byli oni, niepogrzebani, choć jakby umarli, nawpół umarli, dla świata tego umarli, dla świata, którego zrozumieć nie byli zdolni.

Chęci, czucia zwierzęce zamarły w nich, zmysły zastygły... i oto zimni, niepewni, niewiedzący, w strasznej, bezdennej wiedzy innej niewiedzący... stali i nie wiedzieli, gdzie iść, co począć?

Gorącemi tchnieniami dmuchał wiatr... morze zieleni falowało swobodnie i rozkosznie... wierzby płaczące poszmerami płakały... las trząsł się w złotych połyskach, trzepotał się jak ogromny, zielony ptak pod sinym pułapem... a wody strugami łez bryzgały i huczały... i szły na miejsce przeznaczenia.

Cmentarze, pochowawszy kości pod zielone grzbiety, stały cicho, niewinnie, naiwnie, jak ci, co nie wiedzą, jaka to straszna rzecz się w nich dzieje, lub udają, że nie wiedzą, i w niemej zadumie topią bólu świadomość.

A organy huczały w kościołach, wrzały hymnami i biły w sfalowaną kadzidłami przestrzeń... gorąco grzmiały i stanowczo... modlitwą za ludzi, za żywych i umarłych.

A oni wciąż tak stali, słuchali modlitw, niepewni, niewiedzący, ulegając tym szumom i akordom, nie sprzeciwiając im się, godząc się na wszystko, na bezgraniczną melancholię i swój los, o którym nie wiedzieli, jakim jest...

X.

Z harfami przyszły starce i grały.

A noc miesięczna sino-srebrnemi nurtami płynęła w dal.

— O harfowe starce, jeszcze mi grajcie, jeszcze mi śpiewajcie o tych krajach, o tych rajach, w których szczęście nigdy się nie kończy, w których wszystko żyje, co żyje, i nie umiera to, co raz już umarło, co raz na zawsze żyć będzie.

Tak mówił młodzian wśród lasu, księżycowymi blaski otoczon, młodzian, co miał smutną bezdennie twarz i którego noc miesięczna ukoić nie mogła.

A harfowe starce, nachylone smutnie nad nim, śpiewały o tych krajach, gdzie nic nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A młodzian łkał i łkał... pod struny i dźwięki i jęki łkał... jakby w tem łkaniu były piosenki o tych krajach,

o rajach, gdzie nic nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A starce śpiewały, i żaden nie jęknął, choć się im głos rwał z bólu, aby pieśń wyśpiewać o tych krajach, o tych rajach...

I noc miesięczna płynęła wolno.

Zasłuchany księżyc srebrem ziemię oblewał, i tak w te harfy zapatrzony, w te starce, w młodziana, jak zamyślony mędrzec po niebie wędrował.

A wkoło starców, a wkoło młodziana zlatywać się poczęły duchy.

I szum i łopot skrzydeł zasłaniał wszystko, i tak ta ciżba stanęła w skupieniu i słuchała.

A starce harfowe wciąż śpiewały, wciąż grały.

Noc miesięczna pierzchała. Kur zapiał. Duchy z szumem uciekły, i starce gdzieś z harfami przepadły.

A młodzian samotny, w rodzące się świty wpatrzony, wciąż marzył o tych krajach, o tych rajach, gdzie nikt nie umiera — nigdy.

XI.

Dźwigali z sobą chorągwie.

A było ich tak wielu — orszak taki tłumny!

Tacy byli ogromni w swym bólu i pobożności.

I wicher ciągle grzmiał w chorągwie.

Słońce srebrno-bronzowym blaskiem biło im w oczy.

Tysiące przeszkód mieli przed sobą.

A jednak szli coraz wytrwalej, coraz uporczywiej, szli, niewiedząc dokąd.

Aż zahuczała pieśń: *De profundis.*

Grom tej pieśni był posępniejszy od skał ciemnych, zwieszonych nad przepaścią, posępniejszy od orłów sa-

motnego krążenia, od chmur i zimy uśnieżonej w purpurze zachodniego słońca.

Taki był posępny ten orszak i pieśń ta, co huczała im po nad głowami i wyrywała się, jakby nie z nich, jakby pieśń była większą od nich, a oni byli w pieśni.

Wężowym skrętem, wszedł orszak w nowe przestworza, w sine urwiska skał granatowych, między srebrnemi nurtami wód nieskończonych.

A pieśń wciąż łkała, i słońce nie stawało się weselszem, jeno było takie smutne, zbolałe, przygaszone, resztkami sił, resztkami tchu gorącego chuchało na ziemię.

I kiedy weszli na jasno - zielone murawy, zkąd z krzykiem trwożnym podniosło się dziwne jakieś ptactwo, — tak samo byli ogromni w swym bólu, tak samo łkała pieśń, tak samo wichr grzmiał o chorągwie, tak samo słońce było zbolałe, przyciszone.

Władysław Korycki.

Jak trzoda rozciągnięte na piasków posłaniu
W bezkresy widnokręgu zwracają oblicze —
A w ich bioder zbliżeniu, w ich dłoni zbrataniu,
Widne — miękkość niemocy i dreszczów gorycze.

I jedne, zasłuchane w serdeczne zwierzenia,
Idą w lasu — ruczaju — szumiące bezdroże,
I miłości swej pierwszej rozsnuwszy wspomnienia
Rzeźbią jakieś litery w drzew zielonej korze.

A drugie, niby siostry, w ciszy i skupieniu
Błądzą w pełnej widziadeł skalnej pustce szarej,
Gdzie oczom Pustelnika ongi w skier płomieniu
Białych piersi kuszące odkryły się czary.

Inne znowu, jak zwierzę wyjące swe skargi,
W głębi jaskiń pogańskich szukają schronienia

I ciebie przyzywają spalonemi wargi,
O Bachusie! co gorycz usypiasz wspomnienia!

I te jeszcze, co łona szkaplerzem ubrane,
Krwawym śladem piętnują biczującej ręki,
Płaszczem nocy okrywszy swe ciała zszarpane
Rozkoszy krzykiem głuszą mąk bolesne jęki.

O Demony — potwory — dziewice męczenne!
O wy niespełnionemi wciąż dręczone snami,
Spragnione nieskończenia, grzeszne lub promienne,
Czasem krzykiem rozgłośne, czasem ciche łzami.

Kocham was i żałuję, o siostry tułacze,
Duszy waszej piekielną przeczytawszy księgę,
Za niesytość pragnienia, za tęsknot rozpacze
I za wielkich serc waszych miłosną potęgę.

PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska. Karol Baudelaire.

CÓRA KRÓLEWSKA.

Prosząc jałmużny — w Tulijskie grody —
Zaczarowany szedł minstrel młody
I pieśnie w stare niósł Tulii grody.

I Ysselmondzką nastrajał lutnię,
Wtórząc baladom rzewnie i smutnie —
Łzami więc dziewy witały lutnię.

Raz on królewnę w łowczym orszaku
Na białym pysznym spotkał rumaku
I ust jej pragnął — tu w tym orszaku.

Za drobną dłonią królewskiej córy
Białych gołębic leciały sznury. —
Więc za dłoń chwycił królewskiej córy.

I wołać chciała ojca i króla,
Lecz on jej szyję dłońmi zatula —
I nie wołała już ojca króla.

I nieruchome ciało dziewczyny
Niósł w ros kryształy, w kwiatów gęstwiny.
I zaśpiewały usta dziewczyny...

Cudną baladę śpiewały smutnie —
Wtórząc jej, minstrel przyciszał lutnię,
By za jej głosem nuciła smutnie.

Lecz gdy miłosna ścichła ballada,
Słodkie jej usta przymkła śmierć blada,
Gdy potępiona ścichła ballada.

. . . .

Żebrząc pokornie — w Tulijskie grody
Zaczarowany szedł minstrel młody
I dziw swych pieśni niósł w Tulii grody.

I Ysselmondzką swą lutnią śpiewną
Grał wciąż tę samą baladę rzewną,
Biorąc łzy dziewic na lutnię śpiewną.

YSEULT.

Gdy noc zasłonę tkała na błoniach,
Grzebano Yseult o białych dłoniach.
A król czarodziej te dłonie białe
We dwie przemienił lilie wspaniałe,
Aby w Tulijskiej kwitły koronie...

I ciężki warkocz ujął we dłonie,
I bladą głowę w złotej koronie,
I kazał powstać wstędze świetlanej
Ze złotych włosów swej ukochanej,
A czaszkę w Tulii puhar przemieni.

W puharze wino łzami się pieni,
Więc czarodziejskie zerwał lilije,
Świetlaną wstęgą owinie szyję,

Świetlaną wstęgą szyję otoczy,
I zwisł na złotej wstędze warkoczy.

Gdy noc zasłonę tkała na błoniach,
Grzebano Yseult o białych dłoniach,
Grzebano także, razem grzebano
Króla z Yseultą umiłowaną,
I kwieciem Tulii trumnę usłano.



ISABEL.

Do sadu, kędy gwiżdżą Fauni leśni,
Z Venecyi wdzięczna Isabel przybyła,
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni.

I jakby ręką Boticella była
Upozowana — wznosi dłonie w górę,
Warg topiąc szkarłat w czereśni purpurę.

Weszła w ogrody Trebizondy pana,
Skąpawszy usta w purpurze i miodzie,
Wonią swych piersi dziewiczych owiana.

Trefnisiów króla grzebano w ogrodzie.
A na ich grobie Gnomy taniec plotą,
W trawnik rzucając krągłych jabłek złoto.

Do sadu, kędy gwiżdżą Fauni leśni,
Wdzięczna Isabel z Venecyi przybyła,
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni...

I krwią się jagód jej warga zbroczyła...

YELDIS.

Stary władca Turyngii i książę Bohemii
Ujrzał raz świetniejącą szaty jedwabnemi
Piękną Yeldis — królowę z oczyma słodkiemi.

Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni
W szatach ze złotogłowiu. Król stary łzy roni —
Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni.

„Biedny książę Turyngii i Bohemskich włości,
Poco? pocoś odc mnie zapragnął miłości?
Biedny książę Bohemskich i Turyngskich włości!

„Twe włosy są zbyt białe dla złotych warkoczy —
Pieśń dzwonów ci niedługo do snu przymknie oczy,

A Yeldis młodych książąt ramieniem otoczy."

I wśród białych jabłoni znika, sama biała, —
A gdy pieśń jej dzwoniąca w alei przebrzmiała,
Dusza króla starego z tęsknoty skonała.

PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska. Tristan Klingsor.



Handlarz słońca.

SZTUKA W JEDNYM AKCIE.

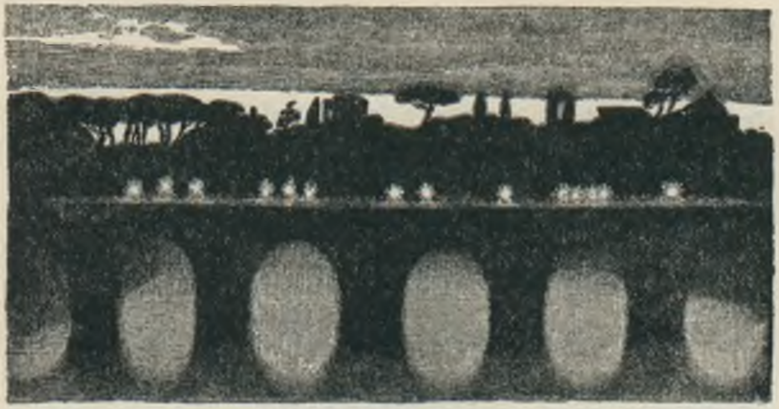
OSOBY.

PRZEKUPIEŃ ULICZNY.
PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.
DRUGI PAN PORZĄDNIE UBRANY.
TRZY MŁODE ELEGANTKI (w jasnych strojach).
PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.
DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.
ZBIEGOWISKO i GŁOSY w tłumie.
PRZECHODNIE.

Rzecz się dzieje w Paryżu, na moście Sztuk, u schyłku pięknego popołudnia jesiennego.— Przepyszny zachód słońca.— Nieustanny ruch przechodniów.

WSKAZÓWKI DLA STWARZAJĄCYCH POSTAĆ PRZEKUPNIA.

Lat trzydzieści dwa. Umysłowiec wykolejony, przeszedł wszystkie awatary najgorszej cyganeryi i, zdychając z nędzy, został przekupniem. Twarz długa, bardzo wielkie zapadłe oczy, spalone usta człowieka, który pije chętnie, nie będąc jednak pijakiem; wynędzniała cera wskazuje na częste męki głodowe; ciemne nieprzystrzyżone włosy jeżą się krzaczasto, kilkodniowa broda czerni mu podbródek i zaklęsłe policzki. Stara czarna kurtka obciska wychudłą jego figurę, wyblakły fular kolorowy, owinięty troskliwie dokoła szyi, każe domyślać się braku koszuli; nogi kołaczą się w spodniach z białego poplamionego drelichu, na których pełno rozdarć i łat; obuwie w złym stanie, kapelusz filcowy wytarmoszony i wyrudziały niezgorzej. — A w mizernym tym stroju, *postawność,* jednak, jakaś resztka wytworności z dawno minionych czasów, uwidoczniająca się we wdzięku i precyzyi pewnych gestów obcych klasom robotniczym, oraz w szlachetności wybitnej niektórych póz.



SCENA JEDYNA.

PRZEKUPIEŃ.

(Idzie z głową spuszczoną, z rękoma w kieszeniach; powłóczy zwolna nogami, jak gdyby szukając czegoś po ziemi. Zatrzymuje się pod jedną z latarń, opiera się tyłem o poręcz mostu, zwrócony plecami do zachodu słońca. Ludzie przechodzą drugą stroną, dość daleko od niego, bardzo pośpiesznie, z minami obojętnemi). No! więc trzeba zaczekać do jutra... albo do przyszłego tygodnia... (z gestem zniechęcenia:) albo do nigdy? Któż to może przewidzieć? A tymczasem brzuch sobie pasem ściskaj, człowiecze! (Ogląda się dokoła.) Czyż to nie wzgardy godna hołota, cały ten tłumek: nie widzą nic... A wszyscy mają pieniądze, tak, wszyscy, huk pieniędzy, czuję je w ich kieszeniach... I to nie zatrzyma się choć na chwilkę, aby człowiekowi wsunąć marne dwa susy... Dokąd idą tak wszyscy ci ludzie? Czyliż ja idę dokądkolwiek? (Śmieje się szyderczo:) Ja jestem u siebie i nie mam potrzeby nigdzie wychodzić: most Sztuk to moje mieszkanie... (wskazuje na przechodniów:) a oni przechadzają się w moim domu. Mogliby przynajmniej zapła-

cić za wstęp!.. Ale nie! Ślepcom tylko szczęści się tutaj! (Po chwili, tonem zadumy:) Bo prawdopodobnie ślepcy najłatwiej rozumieją się ze ślepcami. (Spostrzega pana porządnie ubranego.) Panie... Panie... (Z pewnem pomieszaniem, lecz i z wielką prostotą:) Panie, jestem głodny... Racz pan nie odmówić mi wsparcia...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

Jeszcze? Ależ dałem już przecie tylko co! (Idzie dalej.)

PRZEKUPIEŃ.

(Po chwili osłupienia:) Tak, znam tę zwrotkę... Każdy z nich dał mi już; tylko, że wówczas zwałem się Piotrem, a teraz jestem Pawłem: tak, że ja nie dostałem nic!.. (Po chwilowej zadumie:) To prawda, że jest nas mnóstwo... (Ironicznie, z odcieniem rozdrażnienia:) No, ale choćby! choćby nas było dziesięć tysięcy na tym moście? Jedno, co mnie obchodzi, to mój żołądek: oto od dwóch dni już nie jadłem... Gdyby przynajmniej módz zatkać gardło jakimś kieliszkiem... rumu... albo kirszu: kirsz mocniejszy... albo wreszcie absyntu, to najlepsze... Ach, spijałżem ja niegdyś absynt... wówczas gdy nie byłem głodny!.. Psie życie!.. Ale, na litość boską, czemuż ci tam, w dziennikach, opowiadają, że ludzie są miłosierni... (Spostrzega młodą kobietę w jasnym stroju.) Pani... Pani... (Głośniej, próbując tonem wzbudzić litość.) Ulituj się pani nad biednym robotnikiem bez pracy, który nie jadł od dwóch dni... (Młodziutka elegantka idzie dalej, dając ręką ładniutki znak odmowy. — Przekupień, z gniewnym ruchem:) A niechże cię, udawaczko!.. (Patrzy za odchodzącą i uśmiecha się smutnie.) A przecież ona jest milutka... To nie zna głodu, taka ptaszyna... To otwiera jeno dziobek, i ziarna same weń padają; potem, to ugładzi sobie piórka i leci precz... A ja, ja zostaję tu, zdychając już prawie! (Z wściekłością.) Ależ, do stu tysięcy, nie mogę przecież śpiewać! Nie umiem tego,

i wszystko plącze mi się zaraz w pamięci!.. A ci wszyscy przechodnie, którzy nie widzą mnie poprostu... Gdyby tak mieć coś, co ich przynęca... Ale, zaiste, zdaje mi się, że przestraszam ich raczej... Byle tylko, przy tem żebraniu, nie wpaść w łapy strażników!.. Nie, stanowczo, wszystko uciekło mi z mózgu, najmniejszego pomysłu, a w żołądku coś targa, coś drapie... jak legion szczurów uganiających się po ściekach!.. Przekupień bez tandety na sprzedaż: to ci rzemiosło!.. Zresztą, chleb sam jużby mi, czuję, nie wystarczył.. Trzebaby mi (oczy rozbłyskają mu pożądliwością) pięknej pieczeni wołowej, kilku soczystych, krwawych jej zrazów, trzebaby mi butelki starego Bordo!.. (Z goryczą.) Za dwa susy, tę nędzę, nie dostałbym nawet całego funta chleba. (Zapalając się.) Ach, gdyby wszyscy ci ludzie wiedzieli, ile trzeba mi władzy nad sobą, aby nie skoczyć im do gardła... doprawdy, daliby mi dwa susy za wysiłek... (Przechodzi strażnik miejski z obojętną miną.) Aj, do dyaska! opiekun! (Opiera się o poręcz mostu w postawie bardzo spokojnej i przygląda się niebu, jak człowiek spacerujący bez celu.) Piękny dziś wieczór. (Odwraca się ku rzece.) Niechby tylko zauważył moją minę: zasekwestrowałby mię niewątpliwie!.. Tam do licha! co za zachód słońca! Jeszcze świeczki mam w oczach! (Z ruchem wzgardliwym:) Zachód słońca to zbytek, niedostępny dla wszystkich tych tam kretynów, którzy nie widzą nic... (Chwyta się rękoma za głowę.) Mój Boże, jakiżem ja głodny!.. Niemiła to, bądź co bądź, choroba, zwłaszcza, gdy człowiek taki zdrów... Bo ja jestem zdrów przecie! Dla czegóż muszę zdychać?.. (Spogląda na Sekwanę.) Mam ochotę rzucić się w wodę, by skończyć z tem odrazu... (Cofa się mimowolnie.) Nie, nie, to byłoby głupie, a ja miałem niegdyś zadużo dowcipu... Ach, niegdyś, niegdyś, ktoby powiedział, że dojdę do tego, co dziś!.. Gdy człowiek rzuca się w wodę, znaczy to, że się zabrukał; ja — jestem biedny, lecz nie straciłem jeszcze postawy. (Rozgląda się w swojej powierzchowności.)

Stoczyłem się zupełnie naturalnie, zupełnie logicznie, zapewne dla tego, że tak było napisano... Żadnego zawodu, żadnych stałych dochodów, i zawiele idei, — czyż tego niedość!.. (Z akcentem zadumy:) Ach, idei zabawnych... I piłem też niekiedy: to pociesza... (Przechodzi z powrotem pierwszy pan porządnie odziany, niosąc bukiet owinięty białym papierem. Przekupień wyciąga rękę.) Panie... Panie... Mój dobry panie... Upewniam pana, jestem chory, nie jadłem nic od dwóch dni, chciej pan to sobie wyobrazić... (Idzie koło niego, mówiąc ciągle tonem bardzo pokornym.) Panie, błagam pana, racz mnie wysłuchać... Doprawdy, nie opowiadam panu historyjek wymyślonych... (Płaczliwie.) Nie odmawiaj mi pan wsparcia, proszę tylko o kawałek chleba...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Łagodnie:) No, no, mój przyjacielu, dajże mi spokój nareszcie. (Dobitniej:) W takim wieku, cóż u dyabła! człowiek powinien pracować!

PRZEKUPIEŃ.

Ma pan słuszność, drogi panie, ale proszę mi powiedzieć, co mam robić... Nie mogę nic znaleźć.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Pozbywając się go znużonym gestem:) Spieszy mi się, mój przyjacielu, zwróć się do kogo innego.

PRZEKUPIEŃ.

(Uporczywie, głosem błagalnym:) Pański bukiet, panie... bukiet... Pozwól mi pan odnieść go do niej... Daj mi go pan, odniosę za dziesięć susów, za pięć... za dwa.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIE UBRANY.

(Z westchnieniem:) Nie, w Paryżu niepodobna mieszkać, stanowczo! (Odchodzi szybko.)

PRZEKUPIEŃ.

(Żałosnym głosem:) Litości dla biednego robotnika bez pracy, który nie jadł od dwóch dni... (Podnosząc głos:) Panowie i panie, miejcie litość nad biednym robotnikiem bez pracy, który nie jadł od dziesięciu dni. (Przechodząca młoda elegantka wybucha śmiechem.) No, a cóż tej się znów stało? Ach, do licha, rzeczywiście, omyliłem się. (Pędzi za młodą kobietą i dogania ją.) Pani... Pani... Oh, pani, bądź miłosierną... Jesteś pani taka piękna... Trzeba mieć nieco więcej współczucia dla biednych ludzi... Przecież nie chciałabyś pani, abym kradł... Cokolwiek daj mi pani, cokolwiek... Pani... Błagam panią...

MŁODA ELEGANTKA.

(Przestraszona tem uporczywem naleganiem:) Proszę mnie puścić... Proszę mnie puścić, albo zawołam policyanta! (Odbiega.)

PRZEKUPIEŃ.

Nie! to rzemiosło wstręt nareszcie budzić we mnie zaczyna!.. Sprzedając cokolwiek, można przynajmniej głupstw im nagadać, co się zmieści. (Przechodzi drugi strażnik miejski, z obojętną miną. Przekupień odwraca się żywo i opiera łokciami na poręczy mostowej.) Dalibóg, jeszcze mię złapią na gorącym uczynku... (Melancholijnie;) Gdy pomyślę, czem byłem... Dzisiaj, rozumiem, że ludzie uciekają ode mnie: sam wstydzę się swej szpetności... Cuchnę nędzą o milę i zasmradzam siebie samego. To prawda jednak: zdaje mi się, żem nie jadł przynajmniej od dziesięciu dni... A ta mała waryatka śmieje się z tego!.. Ach, przebaczam im, rozumiem ich... Mężczyźni śpieszą się, kobiety mają nerwy, a ja ciągle plączę im się pod nogami... (Z wściekłością:) Ale niechże mi powiedzą, gdzie się mam podziać! Nie mam już ani papieru listowego, ani ołówków, ani zabawek dziecinnych, nic,

nic!.. Mogę im służyć tylko swoim czasem, a oni go nie potrzebują... Oh! zduszę dziś kogoś, to pewna... (Chwyta się poręczy, chwieje się na nogach, po chwili wyprostowuje się z wysiłkiem.) Cała ta hałastra przechodząca... (chwila milczenia) to jednak ostatecznie porządni ludzie!.. Tylko nie widzą, nie widzą nic, ani mojej nędzy, ani przepychu nieba... (Chwieje się znowu.) Ach! gotów-em upaść.. W oczach mi czerwono!.. To to przeklęte słońce, zadługo na nie patrzałem... Mogłoby się zdawać, żem pijany... Tak, to słońce, ta kula żółto-czerwona, te spłomienione obłoki... Mam jakby krew w oczach i słyszę, jak mózg mi kipi... (Oddycha mocno, zdejmuje i wkłada z powrotem kapelusz, obciera sobie czoło rękawem.) Przeszło mi trochę... Olśnienie nagłe... Lepiej mi, i mniej czuję głód... Okropna rzecz — być głodnym, cudna rzecz — słońce!.. Niegdyś... ale, doprawdy, cóż mi się to dzieje?.. Niegdyś nazywałem je Bogiem nędzarzy, jak gdyby nędzarze zdolni byli je widzieć!.. (Wskazując na przechodniów:) A dopiero-ż ci! Pomyśleć, że oni nie widzą nic, że nikt nic nie widzi!.. Ach! żal mi ich z całego serca... (Nagle zaczyna robić ruchy człowieka, na którego zeszło niespodziane objawienie, potem chwyta się kurczowo poręczy mostu, wspina się na palcach i przemienia się cały w ekstatycznej jakiejś transfiguracyi.) Możnaby przysiądz, że jakiś palec ognisty dotknął nagle mej czaszki... (Twarz jego wyraża radość szaloną.) Puk! i już gotowe!.. Ach! cóż za wspaniała błysła mi nagle idea! (Wybucha ostrym, przenikającym śmiechem.) Widowisko, dalibóg, niegorsze będzie od innych... (Przechodniów coraz więcej: obchodzą go, potrącają. — On wyciąga nagle ręce przed siebie, rzuca z rozmachem kapelusz na ziemię i przybiera postawę handlarza, zabierającego się do wygłoszenia swych szarlatańskich obwieszczeń; ale, obok przybranego łobuzowsko-drwiącego tonu, w głosie jego pobrzmiewa chmurna ironia: mówi jak człowiek pijany lub szalony.) Panie i panowie!.. Nie sprzedaję ani papieru listowego, ani ołówków, ani zegarków uszkiem nakręcanych: mam coś lepszego!.. Nie mam cudownego-kółka-bezpieczeństwa-kluczy: mam coś lepszego!.. Panie i panowie! Nie mam

trociczek - seraju - dla - buduarów - jedynego - zapachu - dobrych - gospodyń, ani kręcącego - się - motyla - radości - dzieci - spokoju - rodziców: mam coś lepszego!.. Ani balonika - czerwonego - który - nie - pęka - nigdy - z - wyjątkiem - wypadków - nieprzewidzianych: mam coś lepszego!.. Panowie i panie, zbliżcie się!.. Nie, nie mam ani przepowiedni - doskonałego - poznania - swych - losów - nieomylnej - wskazówki -wszystkiego - co - wam - się - przytrafi - w przyszłości - teraźniejszości - i - przeszłości! Nie! To coś lepszego, powiadam wam!.. Szlusuj, czcigodna publiczności, zemknijcie szeregi, panie i panowie! Za obejrzenie, bez dotykania, nic się nie płaci!.. Baczność, zaczynam!.. Zbliżcie się, powtarzam, nie ugryzę nikogo, ani sparzę!.. (Przerywa sobie, aby nakreślić na ziemi trzy splatające się wielkie ryby.) Zbliżcie się, panie i panowie!.. (Przechodnie zatrzymują się i, po chwili wahania, tworzą koło: w pierwszym szeregu, tradycyjny chłopiec od cukiernika, ze swą manną na głowie. Tłum wzrasta z każdą chwilą: przyłączają się do niego, spostrzegłszy tylko głowę przekupnia ponad głowami zbiegowiska, *drugi pan porządnie ubrany* i *trzecia elegantka* w jasnym stroju.) Dalejże, przystąpcie i nie lękajcie się niczego: jeszcze nie trzeba płacić za miejsce!.. Panie po prawej stronie, panowie po lewej, cena ta sama, równość dla stron obu!.. Musicie przecież widziec przemysłowca przy robocie! Musicie sami osądzić jego sposób obchodzenia się z przedmiotem. Baczność! Bo starczy towaru dla wszystkich, tak, bez samochwalby i oszukaństwa, a nie będzie to ani drogie, ani trudne do zabrania ze sobą... Zbliżcie się zatem, oto chwila nadeszła! Oto pora, oto sposobność jedyna. (Werbel językiem.) Starczy go dla nianiek, starczy go dla wojaków! Nie zbraknie go dla matek i panien, dla kawalerów i żonatych, dla wdów i wdowców!.. Zbliżcie się, panie i panowie! Jeszcze bliżej, jeszcze bliżej... Sprzedaję towar niezwykły, niesłychany, niemający równego sobie w świecie całym, towar — *jedyny*, JEDYNY!.. A dość go będzie dla wszystkich, dla każdego i dla każ-

dej, zapewniam was, daję wam na to słowo honoru, choćby was było sto tysięcy!.. (Udaje, że przysłuchuje się na prawo i na lewo, potem ciągnie dalej z jeszcze większą energią.) Słyszę mówiących: „Tak, znowu ta sama tandeta, farbowane lisy z modnem pokryciem!“ (Śmiejąc się szyderczo:) Otóż nie, panowie! Sprzedaję, jak miałem zaszczyt was uprzedzić, towar JEDYNY... w swoim rodzaju! Jest to rzecz niezrównana, w tej chwili wam udowodnię... (Gwar w tłumie.)

GŁOS W TŁUMIE.

No, no, no! co za perora! Pokaż-że nareszcie swoją tandetę!

PRZEKUPIEŃ.

To nie papier listowy dla zakochanych, coś lepszego: to miłość sama!.. To nie ołówek z obsadką wiecznotrwałą, coś lepszego: to strzały z ostrzem ognistem, piszące szkarłatnym atramentem wyraźniej niż w książkach!..

GŁOS W TŁUMIE.

Strzały piszące?

PRZEKUPIEŃ.

To nie nakręcany uszkiem zegarek niklowy, marna cebula za trzydzieści susów: to wielki godzinnik regulujący zegary giełdowe!.. To nie kółko-stalowe-bezpieczeństwo-kluczy: to klucz, otwierający wszystkie drzwi, pomimo wszelkich zasuw!.. To nie trociczki seraju: to wszystkie Wschodu aromaty!.. To nie kręcący się motyl, to rzecz, która mu ruch i migotliwość daje!.. To jedyny olbrzymi balonik czerwony, który nie pęka, który nie pęknie nigdy!.. Hola! zapamiętajcie to sobie państwo!.. (Werbel językiem.) A wystarczy dla wszystkich: przysiągłem na

to!.. Nie, to nie przepowiednie i kabały: to przyszłość sama, teraźniejszość i przeszłość, to ziemia i niebo, szczęście i nieszczęście, to kamień filozoficzny, jednem słowem!..

GŁOS W TŁUMIE.

Czóż to takiego?

PRZEKUPIEŃ.

Zbliż się , czcigodna publiczności, szlusuj, tłocz się! Da każdy, co zechce, za niespodziankę!.. Zbliżcie się, panie i panowie!.. Jam jedyny handlarz tego towaru, a składów moich nie szukajcie na rogach ulic: one są tutaj, na wietrze, pod obłokami; jam jedyny kupiec, jedyny agent, jedyny roznosiciel, jedyny sprzedawca, — i sprzedaję wam... chciejcie dobrze zrozumieć... SPRZEDAJĘ WAM SŁOŃCE! (Wskazuje na niebo. Dokoła krzyk, hałas, wybuchy śmiechu.)

RÓŻNE GŁOSY.

— No, no, proszę ja kogo!
— Co za blaga, mościpanowie!
— Ależ on ma słuszność. To kapitalne!
— Precz z nim!
— Za drzwi kpiarza!
— No, dość mielenia językiem: zaprodukuj nam swój figielek.

PRZEKUPIEŃ.

(Nowym, szerszym gestem, wyciąga rękę w stronę zachodu słońca; postawa jego tchnie dostojeństwem, głos gorętszemi drga akcentami.) Ani na chwilę, panowie, nie śmiałbym powątpiewać o waszej inteligencyi... (Uśmiecha się lekko z drwin własnych.) Z pewnością wszakże wiele osób nie zrozumiało... Wypada mi więc może objaśnić widowisko tym, którzy nie rozumieją?.. Moim fachem

jest wskazywanie, podobnie jak rzemiosłem niektórych ludzi — niewidzenie... Spójrzcie zatem! Spójrzcie, panie i panowie, jakie ono spokojne: uskromiłem je!.. Chwyciłem je za wielkie rogi złote, i oto kornie u stóp nam się kładzie!.. Nie bójcie się patrzeć: jest to bestya bardzo łagodna, a choć zieje ogniem z pyska, pożera wszakże tylko kwiaty!.. Ludzie, którzy marzycie o fortunie, oto jest złoto! (Zaczyna się unosić.) Kobiety, które marzycie o piękności, oto zwierciadło pełne odbić olśniewających!.. A wy, małe płaksiwe pędraki, oto róże, któremi możecie sobie babrać policzki!.. Zakochani, oto ogień! Zakochane, oto pycha! Poeci-nędzarze, oto rymy złote! Żołnierze, oto wszystkich tryumfów sztandary! — A wy, głodomory niepoliczone, oto olbrzymia, powszechna, soczystych, krwawych mięs biesiada!.. Spojrzyjcie, nie okłamałem was: oto złoto pada, oto cacka dżdżą lśniące!.. Kaskadami walcie się, dwudziestofrankówki! Buchajcie, rubiny, jak rakiety świąt narodowych! Strumieniami lejcie się, topazowe fale purpurowych winobrań! Strzelaj grzmiąco, niebieski szampanie!.. Oto upojenie dla ludzi, oto krew bogów!.. A wy, którzy płaczecie, shańbieni lub zbrodniarze, oto łzy dyamentów najczystszych, oto rosa pereł najbielszych, oto krople miodów najsłodszych!.. Patrzcie wszyscy! Jam hojny: kto nie chce płacić, temu nie sprzedaję, temu — daję słońce!.. (Wkłada kapelusz na głowę i stoi z oczyma utkwionemi w słońcu dalekiem. — Nowy hałas, oklaski, krzyki zwierzęce, spory. Susy sypią się pod nogi przekupnia.)

RÓŻNE GŁOSY.

— Wszystko to wściekła blaga!..
— Nie sztuka w ten sposób zarabiać susy!
— Ja myślę, przeciwnie, że nie bierze ich darmo!

(Zjawiają się dwaj strażnicy miejscy i starają się dostrzedz przekupnia pośród zbiegowiska.)

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI

Nie zatrzymywać się, panowie, nie zatrzymywać się!.. Przeszkadzacie państwo ludziom przechodzić!.. Przeklęty handlarz!

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Jeden pójdzie sobie, drugi się zjawia!.. A cóż ten tu sprzedaje?

DRUGI PAN PORZĄDNIE UBRANY.

Nic zupełnie... Upił się zapewne.

TRZECIA MŁODA ELEGANTKA.

Twierdzi, że sprzedaje słońce, ale nie pokazał nam go: musi to być zapewne jakaś osobliwość egipska, którą on tak nazywa. (Wspina się na palcach, aby zobaczyć.) Nie, nic dojrzeć nie mogę. (Strażnicy rozpędzają tłum.) Oh, panowie, nie aresztujcież go, bardzo was proszę! (Strażnicy uśmiechają się do niej.)

PRZEKUPIEŃ.

(Do siebie:) Do licha, polipy!..

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

He tam, co tu barłożysz?

PRZEKUPIEŃ.

(Zbierając susy:) Proszę was, panowie, pozwólcie mi zebrać moje susy... Tyle ich leży..!

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

A twoja tandeta? gdzież ona?.. Co-ś ich tu obełgiwał?

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Żebrak, to się rozumie!.. No, nogi za pas... a żywo... albo pójdziesz do ula!

PRZEKUPIEŃ.

(Podnosi się, nieco zdumiony, że mu tak uszło; potem zwraca się ku słońcu i zdejmuje kapelusz.) Dobranoc — i dzięki, staruszku! (Odchodzi.)

(Tłum rozprasza się, zostaje tylko cztery lub pięć osób, przeważnie młodych ludzi, z oczyma marząco utkwionemi w słońcu.)

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Dalejże, nie zatrzymywać się, nie zatrzymywać się! (Młodzi ludzie odchodzą.) Czegóż ci także gapili się tak w tamtą stronę? (Patrzy również przez chwilę; towarzysz idzie za jego przykładem.) A ty, widzisz cośkolwiek?

DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Nie, nic.

PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

(Zwracając się w stronę, gdzie zniknął przekupień.) Może źle zrobiliśmy, żeśmy go nie przyskrzynęli, tego ptaszka!

PRZEŁOŻYŁ: Miriam. Rachilde.

* * *

Oczy, wy, moje! —
utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas —
a nic nie widzę
i tem się niepokoję, —
a nic wyczekać nie mogę
i w tem mam trwogę.

Noc.
Po kwietnych łąkach
pełznie szept cichy
od kwiatu do kwiatu,
od trawy do traw,
od łodyg w kielichy
pełznie szept cichy, —
modlą się kwiaty,
modlą się drzewa w mistycznym poszumie,
modlą się wody w mglistej zadumie,
wszystko się kłania w rytm modlitwy cichej,
niby klasztorne mnichy
w szarą godzinę pacierzy. — —

Po kwietnych łąkach
pełznie szept cichy,
a za nim Elfów stado bieży,
z czarą stuwonnych kadzideł:
z rumianku, mięty,
z dzikich róż,
z kłosianych zbóż
przez Elfów wyciągnięty
do złotych kruż,
do złotych trybularzy,
ten zapach stu woni
jak ptak się we mgłach waży.

To Msza wieczorna Wszechświata
ze świętych Ziemi ołtarzy
w bezkrańce ciche ulata.

Oczy, wy, moje!
Utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas,
w tę rozmodloną Ciszę, —
a nic nie słyszę
i tem się niepokoję —
to troski moje.

Ranek. —
Różowe światło płynie z za krańców ziemi, —
różowy wstaje dzień jak twarz dzieciny,
co się ze snu budzi, —
już w polach garstka ludzi
przy bruzdach się trudzi,
a w dali las siny,
rozorane role,
łąki, oziminy

w rosy łzach się myją, —
gdzieniegdzie ptak z wyciągniętą szyją
ziarna na miedzy zbiera kąkole.

Tak cicho —
zda się,
słychać, jak płynie to światło różowe, —
zda się,
że świat stanął w biegu, —
jeno czasem zagra na fujarce
chłopczyna, co u brzegu
siwe konie pasie, —
lub popłyną z dzwonnicy
przy kościele z modrzewia
na ranną wotywę
głosy smętne, tkliwe —
pacierze szepcą starce
wtedy na progach chat,
a łzy tęsknoty przeżytych chwil
w ich zblakłej drżą źrenicy — —
ileż ranków tych różowych,
ileż takich lat!

Oczy, wy, moje!
utkwiłem bezruchomo was
w Przestrzeń i Czas
i w tę różową ciszę, —
a nic nie słyszę
i tem się niepokoję, —
że tak mi wszystko z przed was ginie
w tem życie biedne moje winię.

Bolesław Kołtoński.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Rojko spojrzał na mnie i, zdało się, odgadł, co się we mnie dzieje. Milczał, podobnie jak ja, i myśli nasze błądziły tak, Bóg wie gdzie. A tymczasem, szliśmy mechanicznie dalej ulicami i stanęliśmy wreszcie naprzeciwko św. Juliana, przed domem „pod tonącą gwiazdą.“

Rojko mieszkał na trzeciem piętrze. Chwiejne, skrzypiące schody, szerokie i ciemne, wyprowadziły nas na dość obszerny korytarz; szliśmy nim z dziesięć kroków, poczem skręciliśmy po trzech stopniach naprawo w mniejsze przejście, kończące się drzwiami samej już Rojka siedziby. Ale po drodze mijało się jeszcze drzwi innego mieszkania, w tej chwili otwarte naoścież. Spojrzeniem zabłądziłem tam mimowoli. W pokoju było więcej niż półciemno, bo zmrok już zapadł głęboki, a do tego okna

były zawieszone jakąś tkaniną w żółte i czerwone kwiaty, na stole zaś paliła się tylko cieniuchna świeczka. Komnata robiła wrażenie wielkiej czystości i porządku. U jednej ze ścian stało staromodne łóżko z wypłowiałemi, powłóczyście spływającemi zasłonami jedwabnemi, w których widać było podłużne, wielkie szczeliny i pęknięcia — rozpadały się ze starości. Zasłony były rozgarnięte, i w cieniu dostrzegłem zarysy jakieś postaci leżącej na tem łóżku. Pośrodku pokoju stał wielki biały, niemalowany stół, wyszorowany tak czysto, że błyszczał w ciemmności, a koło niego, trzymając się poniekąd jego krawędzi, przesuwała się znużonym jakimś ruchem staruszka wysokiego wzrostu, w czarnej odzieży, z białym czepcem na głowie; w wielkim, wysokim staromodnym fotelu siedziała opodal druga starowinka, blada, schorowana, o twarzy ohydnie zeszpeconej, lecz niepowszedniej. Była siwiuteńka, tylko gęste brwi miała zupełnie czarne, a oczy świeciły jej niezwykłym jakimś blaskiem. Trzymała małe zwierciadełko ręczne, dziwnie badawczo w nie się wpatrując. Uśmiech samozadowolenia błądził po jej twarzy, kiwała głową i poruszała wargami, jak gdyby szepcząc coś do siebie. Przeszliśmy szybko koło drzwi tego pokoju i, niechcąc się wydać niedyskretnym, błyskawicznem zaledwie spojrzeniem zdołałem ogarnąć jego mieszkanki, ale uderzyła mię odrazu szczególna ich powierzchowność.

— To dziwna, — rzekłem, — że nietylko z ludzi, ale nawet z rzeczy wydobywa się niekiedy jak gdyby jakiś prąd magnetyczny, który nas ogarnia i opanowywa doszczętnie! Ten dom pański zaczarował mię poprostu, zaczarował w tem znaczeniu, że czuję się stanowczo pod władzą niepojętego jakiegoś wpływu. — I mimowoli obejrzałem się za siebie ku drzwiom, które już minęliśmy.

— Czyżby pana tak zajęły moje sąsiadki? — spytał Rojko, zgrzytając kluczem w zamku. — Przechodziliśmy, —

dodał po chwili, gdyśmy już weszli do własnego jego mieszkania, — koło „klatki trzech waryatek.“ Tu w domu, muszę pana uprzedzić, każdy mieszkaniec ma jakieś przezwisko.

— Klatka trzech waryatek? — powtórzyłem za nim. — Czyżby te kobiety były istotnie nienormalne? Ale widziałem tylko dwie.

— Trzecia, biedaczka, nie wstaje z łóżka już od lat kilku. Jest to margrabianka z urodzenia, ale taka biedna i sponiewierana, że aż serce boli.

— I obłąkana?

— Nie, ale zupełnie już zdziecinniała! Dwie drugie, które z nią mieszkają (jedna naprawdę waryatka), mają dla niej ogromnie wiele dobroci i względności. Wszystkie te trzy staruszki są takie ciche i spokojne, że cały dom otacza je czemś w rodzaju czci. Jako sąsiadki, są poprostu wzorowe.

— Zdaje mi się, — przypomniałem sobie teraz, — żeś pan o nich majaczył, gorączkując w naszym szpitalu. Powiedziałeś pan kiedyś, patrząc nieruchomie w próżnię: to ta najstarsza z sióstr, mater lachrymarum! Zapewne jedną z nich nazywasz pan w ten sposób?

— Nie, — odrzekł. — Czy istotnie powiedziałem „mater lachrymarum“? W takim razie musiałem mówić po angielsku?

— Tak jest.

— Ach, tak! Zatem przytaczałem tylko de Quincey'a. Czyliż nie znasz pan tej przedziwnej jego rzeczy: „Lewana i trzy matki boleści“? Umiem ją całą prawie na pamięć.

— Nie znam, — odpowiedziałem.

— W takim razie przeczytaj ją pan sobie kiedykolwiek. Ja przepisałem sobie niegdyś cały ten utwór, nie miałem wówczas dość pieniędzy nawet na tak tanią książkę. Jakże potężnie oddziałał na mnie de Quincey tym

poemacikiem! W życiu jego za lat młodych było istotnie nader wiele wspólnego z przejściami mojej młodości. To też „Lewana i trzy matki boleści“ zbudziły we mnie takie echo, że zdawało mi się niekiedy, iż to jedna z mych własnych wizyj, i że mieliśmy ją z de Quincey'em na współkę!

Zapatrzył się w próżnię i milczał tak długo, że mi się wydało, iż o mojej obecności zupełnie zapomniał. Staliśmy w małym, wązkim przedpokoiku, zawsze zapewne dość ciemnym, bo odbierającym światło tylko z korytarza przez małe nade drzwiami okienko. Ciemnozielona, miejscami do żółtości wypłowiała zasłona dzieliła ten przedsionek na dwie części. W jaśniejszej staliśmy właśnie; za nawpół odgarniętą kotarą widniał zupełnie ciemny kąt; stało tam stare krzesło drewniane i walały się jakieś niepotrzebne widocznie, wyrzucone tu sprzęty. Podczas gdym się niezajmującym tym rzeczom z chciwą jakąś przypatrywał badawczością, opamiętał się Rojko, otworzył drzwi do pokoju wiodące i, zapraszając mnie uprzejmie do wejścia, zapalił jednocześnie stojącą na podorędziu świecę. Mieszkanie miał ubożuchne, lecz czyste. Sprzętów było niewiele: stół, na nim arkusze zapisanego papieru i stos różnych gazet, pod ścianami kilka krzeseł, koło okna nieco zużyty sekretarzyk w stylu *empire*, w jednym kącie żelazne wąskie łóżko, w drugim bufet z naczyniami do herbaty, blaszanym samowarkiem i małą lampą. Fotografia Cano'wskiego, drewnianego posągu św. Franciszka z Assyżu, bez ram, wprost do ściany przybita, była jedynem w pokoju dziełem sztuki.

— Kto z tych dwóch jest panu tak sympatyczny, — spytałem z pewną ciekawością, — święty czy artysta?

— Obadwaj, — odrzekł. — Franciszek z Assyżu jest jednym z największych ludzi, a Cano jednym z najszlachetniejszych artystów, o czem świadczy wystarczająco

choćby tylko ten posąg, jedyne z jego dzieł, które znam, i to tylko z reprodukcyi.

— Co za realizm u tych starych Hiszpanów! — zawołałem, przypatrując się fotografii, — czyż to nie wygląda na jakieś dzieło zupełnie dzisiejsze?

Rojko uśmiechnął się.

— Nie zgadzam się z panem, — rzekł, — skupiasz pan zbyt różne rzeczy pod jednem pojęciem i jedną nazwą. Mówiąc „realizm“, masz pan na myśli „prawdę“ w sztuce, jak gdyby dopiero nasi dzisiejsi realiści tam ją wprowadzili. Wpatrz się pan tylko dobrze w ten posąg św. Franciszka, a wnet odsłoni się panu różnica między temi dwiema epokami. Kierunek dzisiejszy, a przynajmniej ta szkoła, która najbardziej hasłami rzucała, myśli tylko o prawdzie w oddaniu jakiegobądź przedmiotu. Tamci wielcy mistrowie nie znali haseł ani doktryn, ale mieli bezpośredniość widzenia i troszczyli się przedewszystkiem, czy to, co tworzyć chcieli, wystrzela dostatecznie nad poziom powszedniości, albo, mówiąc poprostu, czy przedmiot wart, aby go stwarzać. Większość potocznych produkcyj, dzisiaj w modzie będących, tego niewarta. To, co autorowie ich „obserwują“ tak szczegółowo, nie może właściwie nikogo bardzo zajmować. Spójrz pan na tego św. Franciszka — co za prawda w wykonaniu, masz pan słuszność, ale przedewszystkiem co za ideał w koncepcyi! A na tem polega cała sztuka.

— Zgadzam się z panem o wiele więcej, niż pan myślisz, — odparłem; — odróżniam doskonale realistów, jakimi naprzykład są Dostojewski i Flaubert, od tego tłumu, z którego w tej chwili żadne mi nawet nie przychodzi na myśl nazwisko. Ale zdaje mi się jednak, żeś pan niesprawiedliwy względem naszej doby dzisiejszej.

— Ani odrobiny, — odpowiedział żywo. — Twierdzę jedynie, że nie jest to doba wielka, ponieważ spełnia przej-

ściowe tylko zadanie. Wiedza, literatura, sztuka wogóle, ba, nawet polityka i społeczne ruchy nasze — wszystko to jest dopiero w stadyum analizy. Walki narodowościowe, spory socyalne, wątpienie w religii, naturalizm w sztuce, empiryzm w nauce: toć to przecie sama analiza. A tymczasem wielkość jest jedynie w syntezie, która po analizie nastąpić musi. We wszystkich wymienionych dziedzinach nie brak wprawdzie duchów, które, acz nie dosięgły nigdzie szczytów, stoją jednak wysoko nad swoją dobą. Ale świat tam, gdzie one, dojdzie zapewne dopiero za jakieś stulecie — wspaniałe to drzewo wzrośnie snadź kiedyś aż pod niebiosa, dziś kiełkuje zaledwie. — Umilkł.

— Jesteś mi pan zagadką, — rzekłem mu. — Takie dziwne w panu sprzeczności. To wydajesz mi się pan beznadziejnym, skrajnym pesymistą, rozpaczającym nad wszystkiem dokoła, to znów tryskają nagle ze słów pańskich promienie najbielszego światła nadziei i rozpraszają wszystkie ciężkie chmury.

— Ulegam wrażeniom, — odpowiedział z prostotą. — Powiedziałem już panu, że nie potrafię nie marzyć. Zresztą, i ja sam jestem dzisiejszym właśnie człowiekiem, mam wszystkie właściwości doby przejściowej: „himmelhoch jauchzend, zum Sterben betrübt“, jak śpiewał stary Goethe. Nie jestem człowiekiem dzisiejszym tylko w tem znaczeniu, że nie umiem się zapalać do wszystkich potoczności naszej epoki, a przedewszystkiem, że nie zdołam śpiewać razem z innymi w tryumfalnym chórze, wysławiającym nasze stulecie jako koronę wszystkich poprzedzających. Pozatem, godzę się chętnie, że doba ta należy do najbardziej zajmujących. Choćby tylko z powodu tych śmiertelnych zapasów między nauką i religią. Humorystyka tej poważnej walki polega na tem, że obaj zapaśnicy kładą nacisk na swoją nieomylność. Tymczasem ludzie dzisiejsi mają przeważnie jedną z dwóch chorób: że

albo nie wierzą, a jednak w skrytości ducha tęsknią do wiary jakiejkolwiek, albo też wierzą wprawdzie, ale już nie niezłomnie, nie zwycięzko nad calem morzem zwątpień, — i wskutek tego jedni i drudzy radziby te dwie nieomylności do jakiejkolwiek doprowadzić zgody.

— A czy myślisz pan, że kiedykolwiek da się rzucić most między religią i wiedzą? — zapytałem. — Mnie wydaje się to niemożebnem.

— W świątyniach egipskich religia ezoteryczna była wiedzą najwyższą, która zmogła analizę i doszła do wspaniałej a jednak prostej syntezy. Mędrcami byli ci starożytni, że prawdy najwyższe zostały u nich tajnym, ukrytym skarbem, dostępnym tylko dla wtajemniczonych.

— Nie było-ż to niesprawiedliwe?

— To było przezorne i mądre. Nawet wiedza nie zyskuje na popularyzacyi. A czyliż nie widzisz pan, w co się obraca każda wielka religia z biegem czasów, gdy wielkie jej nauki, czyste prawdy i wzniosłe symbole zaczynają być nadużywane, pozbawiane treści najwyższej i karykaturowane do niepoznania!

— Oh, poznaję pana lepiej, — zawołałem; — pan wierzysz w ideały najwyższe, mimo iż, jak wieża Babel, waliły się w gruzy pod panem, w chwili, gdyś pan mniemał, że u szczytu już jesteś!

— Czyż-em panu nie powiedział przed chwilą, że nie mogę wyrzec się marzenia? — rzekł ze smutnym uśmiechem i zbliżył się do okna.

Mimowoli poszedłem za jego przykładem. Spojrzenie me padło trafem na szybę jasno oświeconą blaskiem stojącej w pobliżu świecy. Na szkle, wyryte zapewne dyamentem, lśniły te słowa w polskim języku: „Sam, sam, sam! Boże, jakżem opuszczony! Tego nikt nie wie, co w sercu mem płaczu!“ Niżej był podpis, polskie nazwisko, którego już dziś nie pamiętam, i data: 1832.

— Zdumiewające! — zawołałem, — patrz pan, ta szyba jest tu już pięćdziesiąt sześć lat! Owo biedne serce, w którem, według cytaty ze Słowackiego, tyle było skrytego płaczu, dawno zapewne przestało już bić i płakać, podczas gdy cienka tafla szklana, narażona na wichry, burze i wszelkiego rodzaju przypadki, przetrwała wszystkie te boleści i pogrzebane nadzieje. Ileż zapomnianych westchnień i wykrzyków, modlitw błagalnych i klątw słyszały tedy zapewne te poczerniałe, ale mocne jeszcze mury pańskiego domu! Ileż tonących gwiazd zapadło może i utonęło w mrocznem jego wnętrzu! O, ta znikomość ludzkiej doli!

Rojko nie odpowiedział, cofnął się w głąb pokoju i siadł na łóżku żelaznem. Widziałem, że we wnętrzu jego coś się dzieje, do czego brak mi było klucza. Niewątpliwie, musieli znowu „mówić do niego oni,“ bo zdawał się nie wiedzieć zupełnie, że koło niego siedzę i że z nim rozmawiam. Chwilami tylko miałem wrażenie, że spostrzega moją obecność; spoglądał na mnie od czasu do czasu jak gdyby z podziwieniem, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Tyś tutaj? Kto jesteś i czego tu szukasz?“ Było to niewysłownie przykre. Wstałem i uścisnąłem mu rękę. Była rozpalona jak w gorączce.

— Do zobaczenia! — rzekłem, potrząsając głową. Rojko skinął w milczeniu. Wyszedłem cicho z pokoju, za drzwiami zatrzymałem się chwilę, nadsłuchując, ale Rojko ani się ruszył. Poszedłem powoli dalej. Drzwi „klatki obłąkanych“ teraz były również zamknięte i najmniejszy szmer z za nich nie dochodził. Cały dom był jak zaklęty, ale gdy zszedłem o jakieś pół piętra niżej, powstał nagły hałas, drzwi jednego z mieszkań otworzyły się gwałtownie, i młody, jasnowłosy wojskowy, po fanfarońsku uczesany, z wywoskowanemi wąsami, typ świadomego siebie „pięknisia,“ wypadł na korytarz i zaklął. Oświetlony smugą

promieni, bijących od lampy w pokoju, zatrzymał się chwilę w ciemnem przejściu. Za nim ukazała się kobieta, z włosami w nieładzie, nieładna, ubogo odziana, zapłakana cała.

— Leonie, drogi mój Leonie! — wołała z niepokojem śmiertelnym i chwyciła go za rękaw. — Na Boga, stój! Dokąd idziesz? Dokąd idziesz? Oh, ty mnie porzucasz!

Odtrącił ją grubiańsko, aż się zatoczyła.

— Niech cię dyabli porwą, poczwaro! — wykrzyknął i zbiegł ze schodów.

Zatrzymałem się mimowoli. Kobieta nie spostrzegła mnie nawet. Blada, oniemiała nagle, załamała ręce, potem rzuciła się twarzą ku ścianie i rozpłakała się dziko. Była wzruszająca w tym żalu. Poznałem ją. Była to ta sama kobieta, która niegdyś przed domem zagadnęła mię i zapraszała do siebie. Wówczas budziła wstręt, teraz współczucie. Chciałem minąć ją cicho, niepostrzeżenie, posłyszała wszakże me kroki i obejrzała się szybko. Spodziewała się może, iż uciekający powraca. Spostrzegłszy tylko mnie, zachmurzyła się niechętnie, otarła łzy rękawem, jak to robią dzieci, weszła do mieszkania i zatrzasnęła drzwi gwałtownie.

Takie tedy były wrażenia z mych pierwszych odwiedzin w domu „pod tonącą gwiazdą.“ Dopiero kiedym się znalazł sam, pociemku w swoim pokoju, pośród ciszy głębokiej, zrobiłem poniekąd obrachunek tych wrażeń i powiedziałem sobie, żem się nie zawiódł, szukając czegoś niezwykle zajmującego w tych poczerniałych, ku ruinie chylących się murach. Jakże to wszystko dziwnie na mnie działało, ta „klatka obłąkanych,“ boleść tej niemłodej już kobiety, wołającej rozpaczliwie za uciekającym młodzieńcem, jakież powieściowe tkwiły w tem wszystkiem zarodki! Ale wspomnienie o Rojku zasłoniło te mniej dla mnie ważne obrazy. Widziałem go znowu, sto-

jącego na wybrzeżu z tym ekstatycznym wyrazem twarzy. Słyszałem jego dziwne wykłady o pielęgnowaniu wyobraźni, aż się stanie zdolna wzierać tam, kędy zmysły codzienne dotrzeć nie mogą, — i ze wszystkiego tego w głowie mi się jęło zawracać. Jakąż ten człowiek zdumiewającą miał nade mną władzę! Z oczu jego promieniowało coś niby fluid tajemniczy, coś, co mnie ujarzmiało poprostu.

— Byłżeby to waryat? — spytałem cicho sam siebie.

I zadrżałem znowu do głębi, bo miałem uczucie, że Rojko jest dolą moją, miałem uczucie, że moc jakaś wyższa wydała mu mnie, aby mnie pociągnął, gdzie chce, i że, jeśli on jest waryatem, i mojem tedy przeznaczeniem będzie zwaryować pod jego wpływem. Zerwałem się przerażony.

— Ależ myśleć coś podobnego jest już początkiem waryacyi! — wykrzyknąłem i zacząłem biegać po pokoju, jak zwierzę po klatce. Nie spałem całą noc, rzucałem się na łóżku i miałem gorączkę.

Rano wróciły mi rozwaga i spokój.

— Jest to człowiek oryginalny poniekąd, — rzekłem sobie. — Jest to dusza głęboko cierpiąca, w gruncie nader religijna, ale bez wiary, której nieustannie szuka i którą mylnie spodziewa się znaleźć przez rozum. A ta jego „świadomość faktów pozaziemskich“? To, naturalnie, proste majaczenie...

Zawahałem się. Czemuż miałoby to koniecznie być majaczeniem? Póki mi o tem mówił, pod wpływem jego obecności i osobistości, tłomaczenie wydawało mi się zupełnie jasnem, i byłem niejako przekonany o wszystkiem, co mi opowiadał. Zaledwie wszakże to pomyślałem, ogarnęła mnie głucha złość przeciwko sobie samemu. Nie wmawiałżem w ten sposób sam sobie tego majaczenia? I zdało mi się znowu, że wszystko we mnie wiruje,

że wszystko dokoła razem ze mną się kręci, jako gdy tracimy grunt pod nogami.

— Ten człowiek doprowadzi mię do szaleństwa! — wykrzyknąłem znowu we wzburzeniu najwyższem. — Któż wszakże zmusza mię szukać jego towarzystwa? — dodałem, i postanowiłem w myśli, że już go nigdy nie odwiedzę i że o domu „pod tonącą gwiazdą“ nie wspomnę już nawet.

Przez kilka dni dotrzymałem sobie tej obietnicy, potem wszakże odezwało się we mnie sumienie. Nie byłoż to nieludzkie, odsuwać się od tego człowieka, takiego nieszczęśliwego i opuszczonego, który okazywał mi wyraźną sympatyę i nawzajem znalazł ją u mnie od pierwszej chwili, gdyśmy się zapoznali? Zawstydziłem się siebie samego i poszedłem wieczorem odszukać znów Rojka.

Leżał na łóżku ubrany i zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo chorego. Ujrzawszy mnie, zdumiał się poniekąd.

— Przyszedłeś pan jednak? — rzekł. — Przemogłeś się pan tak dalece? Dziękuję panu.

— Co panu nasunęło myśl, że już nie przyjdę? — zdziwiłem się. Patrzał na mnie uparcie, musiałem spuścić oczy, przypomniałem sobie postanowienie, że już nigdy do domu „pod tonącą gwiazdą“ nie przyjdę.

— Wiem wszystko, — rzekł cicho.

— Wiesz pan wszystko? Co mianowicie? — spytałem.

— Wszystko, co się w panu działo.

— Chcesz pan powiedzieć, że znasz najskrytsze me myśli? — rzekłem z rozdrażnieniem poniekąd.

— Tak, — odpowiedział, — chciałem rzec coś podobnego. Wiem, żeś się pan zatrwożył o jasność swego sądu i że chwilowo postanowiłeś nie widywać się nadal ze mną.

— Z czego wynioskowałeś pan to wszystko? — zawołałem, uśmiechając się wymuszenie, ale z głębokiem pomieszaniem wewnętrznem.

— Widziałem i słyszałem pana.

— Gdzie?

— W pańskim pokoju, wieczorem, po ciemku.

— Byłeś pan u mnie?

— Nie ruszyłem się z tego pokoju. Od ostatnich odwiedzin pańskich byłem ciągle bardzo chory.

— A jednak widziałeś i słyszałeś mnie pan? Czyż to możliwe? Byłżebyś pan czarodziejem? — roześmiałem się głośno, ale śmiech mój był jeszcze bardziej wymuszony niż przedtem. — A może umarłeś pan już, i widzę przed sobą tylko pańskie widmo?

— Gdy śpimy, widzimy też nieraz we śnie osoby nieobecne i słyszymy je. Widzieć możemy nietylko nerwami oka. Widziałem i słyszałem pana wewnętrznym wzrokiem i słuchem. Istoty ludzkie mogą w taki sposób oddziaływać wzajem na siebie, że się zdaje, iż widzą i słyszą. I nie zdaje się to tylko, to jest prawda. Objawiający się oddziaływa na tego, który go widzi, wywiera wpływ potężny na mózg jego, i widzenie wewnętrzne wydaje się wtedy zjawiskiem rzeczywistem. Tak bylo i w tym wypadku. Nie ja na pana, lecz pan na mnie oddziaływałeś, nieświadomie, z taką intensywnością, że, jak powiadam, wiem wszystko, co się w panu działo.

— Gdy zatem siedziałem w swoim pokoju i rozmyślałem, duch mój był, że tak powiem, jednocześnie w mojem ciele i tutaj u pana?

— Zapominasz pan, że duch, dusza nie mogą wogóle być g d z i e ś, ponieważ przestrzeń, miejsce są pojęciami, które mogą być pomyślane tylko w stosunku do ciała, do materyi. Duch, niczem nieskrępowany, może zatem być w stałym związku z duchem innym. Wiesz pan,

że Swedenborg powiedział, iż człowiek, jeszcze za życia cielesnego, duchem obcuje już z duchami innymi, aczkolwiek przemijające jego ja nic o tem nie wie. Dodam od siebie, że nie wie o tem w stanie normalnym. Ale ja, który czuję się tak blizkim śmierci, w stanie normalnym dziś nie jestem, żyję więc już jak gdyby w innym świecie — to jest, mam już nawpół jasne pojęcie o przyszłym stanie swojego ja.

Zamilkł; ująłem go z żywością za rękę.

— Byłżebyś pan w istocie tak mocno chory, — zapytałem, — że myślisz już o innym świecie? A jak pan sobie go wystawiasz? — dodałem nie bez ciekawości.

— Tak mniej więcej, jak Kant o tem gdzieś mówi, — odpowiedział spokojnie. — Rozłączenie duszy z ciałem nie oznacza dla niego nic innego, jak przemianę widzenia czy pojmowania za pośrednictwem zmysłów w bezpośrednie widzenie czy pojmowanie duchem. Inny świat nie jest zatem innem miejscem w świecie, lecz innem widzeniem świata. Innym stanem naszego ja. Innym jego stosunkiem do całości. — Umilkł znużony.

— Czyś pan naprawdę tak bardzo chory? — spytałem ze szczerem zaniepokojeniem.

— Naprawdę. Ale cóż z tego?

— I nie wierzysz pan w moją sympatyę?

— Wierzę. Wiem przecie, iż wyrzucałeś pan sobie wahania co do odwiedzin u mnie.

— Ach, wyrzucasz mi pan...

— Nie, nie, — zawołał, — nic nie wyrzucam, ani panu, ani nikomu innemu. Widzisz pan, nie byłem poprostu stworzony do szczęścia przyjaźni, nie dostało mi się to w udziele. I nikt temu nie był winien. Przyjaźń banalną sam zawsze odpychałem, albo też nie wytrzymywała ona pierwszej próby. Taka przyjaźń chce ciągle być głaskana, a ja, jeśli uścisnąłem czyjąś rękę, czyniłem to zawsze

tak mocno, że aż bolało. Dla tego, umiałem pozyskiwać przyjaciół, ale nie zachowywać ich na dłużej.

— Czyż to nie są wyrzuty? — spytałem smutnie.

— Wierzaj mi pan, że nie, — odpowiedział, i twarz rozjaśnił mu uśmiech tak idealnie dobry, że, wzruszony do głębi, uścisnąłem mu rękę tak silnie, iż musiała go zaboleć. Nie dał tego wszakże poznać po sobie.

— Ale teraz, — rzekłem, — opowiedz mi pan, co panu jest, abyśmy mogli poszukać pomocy.

— Dajmy temu pokój, — odrzekł odmownie. — Jestem osłabiony i mam gorączkę, oto wszystko. To przejdzie! Ale jeżeli zechcesz mi pan pomódz, abym mógł wstac i iść, zaprowadzę pana do swych sąsiadek, do „klatki waryatek.“ Tej biednej margrabiance znowu gorzej podobno. Obiecałem starej jej przyjaciołce, u której mieszka, że przyprowadzę doktora. Miałem właśnie pana na myśli. — Pomódz — nic jej zapewne nie pomoże, ale możebyś pan zechciał pójść ze mną do nich, aby ją przynajmniej trochę pocieszyć? One tak mocno wierzą w medycynę.

— Czemuż nie? — zawołałem, — z największą chęcią! Ostatecznie, cóż uzdrawia, jeśli nie wiara?

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

Mundus vult decipi.

(BAJKA.)

Rzeżąc kobyły, ssąc krew cielęcą i często - gęsto zarywając sarninki, Wilk ani się obejrzał, jak przyszła starość. Klacz mu się w nos śmieje, cielę przed nim umyka, gęś, nawet gęś, pomagając sobie skrzydłami i przeraźliwem gęganiem, odnosi zwycięstwa nad powolnym, zniedołężniałym Wilkiem. Zafrasował się Wilk, zadumał, ważył coś w sobie, nareszcie pewnego dnia, kiedy głód doskwierał mu gorzej niż zwykle i kiedy z pól biegły po rosie smakowite porykiwania cieląt, zawołał Lisa, swego sekretarza, i rzecze:

— Pójdziesz acan ode mnie z poselstwem.

— Słucham waszej wilczości.

— Słuchasz, to dobrze: młodzież powinna słuchać starych. Owóż pójdziesz mi do poblizkiej obory, zwrócisz się do żeńskiego rodzaju cieląt, zwanych jałoszkami, które teraz chcą, jak słyszę, opanować ster opinii bydlęcej, powiesz, że się kłaniam i proszę, aby mi były łaskawe oznajmić swe zapatrywania, a mianowicie: jak pojmują rolę swą, cel i zadanie w oborze? w jakim kierunku pragnęłyby się rozwijać? jakie środki obiorą do osiągnięcia swoich

celów i ideałów, gdy będą miały swobodę działania i decydowania o własnych losach? co myślą o miłości i poezyi?... Powtórz.

Lis powtórzył wiernie, ale, zapuściwszy knykieć w lewem przedbiodrzu, pogmerał w sierci i rzekł:

— Jest moim obowiązkiem ściśle wypełniać rozkazy waszej wilczości, tylko nie rozumiem...

— I nie powinieneś. Że jednak już wszedłeś, jak po twej minie widać, na drogę domysłów i zbyt z ciebie zwierz sprytny, aby zaniechać swych dociekań, wolę ci sam wytłómaczyć, o co tu chodzi. Czy nigdy nie zastanawiało cię, Lisie, jak dalece świat jest zmienny? Dawniej, jak wiesz, drzwi się nie zamykały. Dzień w dzień jakaś nowalijka: to jagnię, ciekawe lasu, to cielę, namiętne do oddalania się od trzody, to sarenka, zalotna chyżością... A dziś? Opuszczeni jesteśmy, wyklęci, prześladowani, truci. Bydło zdala trzyma od nas swą młodzież, strasząc imieniem Wilka, zapewniając, że nie mamy nic z bydłem wspólnego.. I gdzie, jak myślisz, leży przyczyna tego zubożenia wiwendy naszej?..

— Wiem już: za mało dbamy o dobro ogółu.

— Rzekłeś. Entre nous soit dit, że ten lub tamten wół czy prosiak będzie okrąglejszy, obchodzi mnie o tyle, o ile wypadnie mi go zjadać. Ale, jeżeli zamiast „cham! cham!“, szczekasz „ogół! ogół!“ — skończone. Wszystko ci samo lezie do paszczy, wszystko ci wolno, bo kochasz ogół. Niejeden wół pomyśli: co to za zacna dusza, o siebie nie dba, wciąż tylko o innych, trzeba mu złożyć hekatombę. I sto wołów pada trupem dla ciebie, Jowisza. Zdaje ci się, że jesteś dobrodziejem, że bies wie, jakie niesłychane spoczywają na tobie zadania, że bez ciebie całąby oborę wilcy zjedli... inni wilcy... rozumiesz...

— Więc moje poselstwo? — rzekł Lis, któremu śpieszyło się.

— Ma na celu wdrożyć w bydło przekonanie, że ja, Wilk, zacząłem zajmować się jałoszkami z pobudek ogólnego dobra. Usypiam czujność stada i zjednywam sobie cielęta za jednym zamachem. Bo, niewątpliwie, jałoszce pochlebi to, że ja, Wilk, ciekaw jestem, co ona, ta wiochna, ta wizya głodem nękanego brzucha, myśli i czuje. Patrzcie, jaka ze mnie ważna osoba! — rzeknie sobie takie cielątko: Wilk i ogół czekają na moje zdanie. A więc oto je macie. I zaczną się upławy ogólników o celach, zadaniach, obowiązkach, zasadach, ideałach... Ta jałoszeczka powie ci, że chce być duszą niezależną i jednocześnie duszą jego duszy (jego, to jest byczka); chce mieć swój sąd własny i jednocześnie żyć myślą jego myśli (jego, to jest byczka); to znów zechce za pomocą „obeznania się z rozwojem umy-

słowości“ bydlęcej módz wyrazić swoje wezbrane uczucia; to będzie żądała, by, jak byk ryknie „kocham“, nie znaczyło to „pożądam,“ tylko, że „twoje ideały i twoje cele są także mojemi“... Uważasz, takie niedorzeczne sprzeczności, które tylko mózg ukopyconego bydlęcia żeńsko-nijakiego rodzaju zdoła wymyśleć — zobaczysz. Już ja je znam, zęby na nich zjadłem... Inna znów ci powie, że chce się rozszerzać (czyli grubieć) i wysubtelniać... Nie bój się, rozszerzysz ty się przed ocieleniem i wysubtelnisz w moich trzewiach...

Tu Wilk zastanowił się na chwilę i rzekł.

— Idź-no acan, może znajdziesz co w śpiżarni, to przynieś: coś mi burczy po kiszkach na wspomnienie wysubtelnionej cielęciny.

Lis wyszedł i wrócił niebawem, niosąc w pysku glonek sera spleśniałego i trochę farfocli ze zdechłego na ochwat barana.

Wilk westchnął.

— O, kto ze łzami starych nie jadł flaków! — jak mówi poeta. — Czas jakiś w milczeniu chrupał twardy ser i z wykrzywianiem mordy dźłamał padlinę, wreszcie podjadł, i widząc, że Lis przestępuje z nogi na nogę, mówił dalej:

— O, bo ty nie znasz tych rozkoszy! Przyjdzie ci takie cielę o duszy wiośnianej, taka wiochna, i z onieśmielenia dygocze, jak liść młodej brzózki, a ty jedną łapą łaps ją za karczek, drugą za piersiczki, trzecią — nie, trzecia i czwarta na ziemi, ale — zębami za mordkę...I czujesz, jak cielę między życiem i śmiercią słabnie, słabnie, zwala się z nóg i daje się rozszarpywać, cichutko pobekując, bo głośno nie śmie, uważasz — zdycha, a nie śmie, co?.. Potem zaszywasz się w jakie ustronie i pogrążasz się w lubej odrętwiałości, bez ruchu, bez pożądań. Promienie słońca przedzierają się przez kopułę zieloną, tworząc olbrzymi lej blasków, którego ostry koniec zaczyna po tobie pełznąć od ogona do nosa; nie chce ci się poruszyć; gdy światłość w nos cię załaskocze, wolisz kichnąć, a nie zmienisz położenia. Muchy pobrzękują ci nad uchem i sadowią się na twej sierci, zrudzonej tu i owdzie krwią cielęcą... Nie robisz im krzywdy, nie straszysz nawet zębów kłapaniem... Czujesz się takim dobrym, chciałbyś, żeby wszystko dokoła było zadowolone i szczęśliwe, bo wszystko ci takie bratnie i drogie: i ta mucha zielona, której brzęk to twoja rozkosz, bo go słyszysz, i ten listek złotawy, bo widzisz jego żyłki i jego cichą słoneczność, bo on ci to daje, że radują się twoje oczy... I ten ptak, tam na gałęzi choinowej, miły tobie, aczkolwiek już nie tak, bo jakoś podejrzliwie jednem okiem patrzy, nie ufa snadź, wyodrębnia się z koła twoich napawań, i swojem zachowaniem się mówi, że nie możesz chcieć go złapać, bo nie

złapiesz. Gdyby tak się nad tem zastanowić głębiej, toby zdjęła irytacya. Myślisz tak — i, nie mając nic innego do myślenia, właśnie myślisz o tem. Powoli zadowolenie twoje pierzcha, wstajesz i człapiesz w gąszcz ciemną, gdzie niema ptaków. Nie śpisz, boś poirytowany. Zaczynasz filozofować. Oto ja, Wilk, zjadłem cielę. Wzmocniłem swoją istność, ale zabiłem czyjeś niewątpliwe pożądanie życia. Gdyby cielę do mnie przyszło i rzekło: zjedz mnie, tobym może i nie zjadł, cała ponęta rzezi w tem właśnie, że cielę żyć chciało. Zatem ja złamałem czyjeś *chcenie*, czyli, że chcenie, wola jest życiem. Dobrze. Ale cielę musi także czemś się żywić; zjada trawę, a więc znowu łamie coś, mianowicie kształt, postać. Więc ta ostatnia, postać, jest chceniem rośliny, jej życiem. Zaś roślina, żyjąc wodą i powietrzem, też je zabija czyli przekształca. Przychodzimy do pytania: czem żyje powietrze? Bo jeżeli jest, żyć musi, czemś się żywić, coś łamać, zjadać. Możnaby przypuścić, że powietrze zjada się samo, gdybyśmy nie wiedzieli, że je stanowią atomy niezniszczalne. Powietrze tedy nie żyje niczem, czyli powietrze, niczem nie żyjąc, żyć, istnieć nie może, to jest, powietrza właściwie niema, a więc i roślin, niemających się czem żywić, też niema, nie istnieje cielę, mnie niema, nic niema na świecie, niema świata i basta!.. Potem myślisz: a któż mnie, Wilka, zjada? Nikt. Nikt, nikt mnie nie lubi. A jednak umieram, ginę... zjada mnie powietrze. Powietrze zatem jest to, co karmi, co daje życie istotom najniższym, a zjada najwyższą, czyli mnie. I ogarnia cię strach, boisz się przestrzeni, nocy, ciemności, chcesz uciec przed powietrzem!.. Z obłędnemi oczyma, z pianą na mordzie, pędzisz po jarach i rozłogach, aż złapią cię ludzie i zabiją jak wściekłego... Alem ja się zagadał, a tu coraz bardziej mi głodno. Mnie niema, ale głód mój jest. Biegaj więc, mój Lisie kochany, do tych cieląt i spraw mi się zgrabnie, jak to ty umiesz. No, do widzenia.

Bez kostura, bez sakwy, jak stał, Lis ruszył w drogę. Gdzie polanka była jaśniejsza, niechętnie mrużył oczy i w cień umykał. Idąc, rozmyślał.

— Biedny stary!.. A gada, niech cię gęś kopnie. Mógłbym go porzucić, ale mi go żal trochę. Zresztą potrzebny mi, jako pewnego rodzaju repoussoir: wszystkie szkody okoliczne, nawet szkody w kurnikach idą na karb starego. Wiedzą, że Wilk tu się gnieździ, ale nie wiedzą, że temu szkodnikowi zostało tylko pięć zębów...

Starość — smutna to rzecz dla zwierzęcia... Ha, każdy ma swoją wyspę świętej Heleny, jak mówi jedna autorka. Gdy mu dobrze usłużę, to i sam się jakim ochłapem cielęciny pożywię i stary nie będzie mi daremnie płoszył gęsi — niedojda!.. Gdyby tylko udało mi się przemknąć do obory... Miałem tam ongi w podwórzu znajomą gęś, która się nawet we mnie kochała... Ale ją zjadłem. Szkoda, przydałaby mi się jej pomoc par le temps qui court, przedstawiłaby mnie jako psa i koniec. Szkoda. Zjadłem ją... trochę z głodu a trochę z zazdrości, bo zanadto ją coś ciągnęło do gąsiorów. Już to prawda, że te związki duchowe to psa warte. Toć i moja gęś deklamowała: „Chcę, byś sumienia mojego był gęgiem, chcę twoje wycie chować jak przysięgę.“ I co z tego? W końcu polazła szastać się z gąsiorami po błoniu i pławić w błotnistej sadzawce... Tak to głos interesu, gatunku i rasy w końcu zwycięża wszelką duchowość, która zawsze w zwierzęciu jest tylko czemś naleciałem... Tak, tak... Ale wiem, co zrobię: sam będę udawał psa, to jakoś pójdzie.

Te i tym podobne rzeczy myśląc, Lis skoczył do poblizkiego rowu, wynurzał się w wodzie, przez co sierć oblepiła go, robiąc czemś podobnem w części do wielkiego tłustego kota, w części do małego chudego jagnięcia, co razem wzięte, mogło ujść i za psa średniej miary. Tak ucharakteryzowany, z podwiniętym pod się ogonem, Lis chyłkiem, ciszkiem, pomaleńku, trzymając się krzaczków, płotków i innych miejsc cieniorodnych, udając wobec ludzi spokój i pokładając się przed psami do góry brzuchem, na znak uległości, dotarł nakoniec do upragnionego cielętnika. Był to rodzaj bekowiska, obwiedzionego dziurawym płotem, ułatwiającym dostęp gęsiom, kaczkom, kurom i innemu plugastwu, gdzie, osobno byczki, osobno jałoszki pasły się i gziły, czekając przyszłych wypadków. Czasem wkraczał tu pasterz, rzucał jakieś ważkie słowo, poklepał które z cieląt i wychodził; czasem pachciarz z rzeźnikiem tu zaszli, wlokąc za sobą ponure cienie żałoby.

Lis otrząsnął się z wody, wymuskał wąs, przejrzał się w gnojówce, podniósł kitę i wszedł prosto do jałoszek.

Istotnie, podlotki wzięły go za psa, i dopiero, coby zacz był, wyświetliła jego mowa tej osnowy:

— O cielęta! Najłapczywszy Wilk, dziedzic na chaszczach i ostępach Świętokrzyskich, władca jamy najciemniejszej, a dla niepoznaki, obrośniętej kwitnącym powojem i bluszczem i zasłoniętej figowemi liśćmi, posiadacz wilczego gardła tudzież wilczego apetytu, dobrodziej i pan mój, powodowany chęcią służenia ogólnemu dobru,

jakoteż pragnąc silną łapą wesprzeć tak nam sympatyczny ruch wyzwolenia się cieląt z pod supremacyi wołów, byków, psów tudzież pasterzy, zwraca się do was moją mordą i prosi o łaskawe wypowiedzenie przede mną swych zapatrywań na cel i zadanie jałoszki w oborze, na stosunek jej do wołów, tych wiernych pracowników i towarzyszy waszego przyszłego krowiego stanu, o wyrażenie, w jakim kierunku chciałybyście się rozszerzać i wysubtelniać, w czem, podług was, leży dobro wasze, i wogóle, co myślicie, czego pragniecie, cobyście chciały zmienić, co zatrzymać? Proszę nadto o wyłuszczenie mi swych poglądów na miłość i poezyę. Wszystkie wymienione rodzaje zapatrywań będę miał zaszczyt wiernie Wilkowi donieść, a w razie, gdyby która z was miała coś jeszcze do uzupełnienia, do wyjaśnienia lub przedyskutowania, niech, podczas mej nieobecności, śmiało wali do lasu, do jamy obrośniętej bluszczem, ostęp Świętokrzyski, numer nieparzysty pięćdziesiąty trzeci ce. Skończyłem. A teraz słucham. Cielęta mają głos.

Naprzód zaczęły się niedowierzające pobekiwania i bardzo intensywne chichotki. Cielęta trącały się kopytkami i bodły czółkami, wypychając jedna drugą do odpowiedzi na orędzie Lisa, który ze skromną godnością siadł na tylnych łapkach, wydobył karnecik, spuścił oczy i czekał cierpliwie. Nareszcie, gdy sytuacya zaczęła stawać się zbyt naciągniętą, raz jeszcze wstał i, już tonem raczej salonowca niż urzędnika, wyrzekł zachęcająco:

— Voyons, mes veaux, niech panie będą łaskawe... Tu się nie wymaga żadnych uczoności... prosto, szczerze, bez retoryki, bez szumnych komunałów, wszak to tak łatwo. Co robiłam, co robię, co będę robiła? Piłam mleczko, piję mleczko, będę piła mleczko. Co myślalam, co myślę, co myśleć będę? Myślałam, żem ładna, myślę, żem ładna, będę myślała, żem ładna. Dalej, proszę...

Żarcik przyjęto miłemi śmieszkami, niektóre cielęta zapłoniły się. Lis dotknął łapką najbliższej ślicznej białoszki.

— No, może ty, milutka, mi powiesz?

Ta, ośmielona, rumieniąc się trochę i trochę blednąc, naprzemian, zaczęła:

— Wiadomo, że życie cielęcia składa się z epok i z ideałów, które wszczepiają w nas pasterze, jeden to, drugi tamto: wszystkim trudno dogodzić. A krowy-matki wszczepiają w nas kokieteryę i zamiłowanie fraszek. Więc czego można się spodziewać rozsądnego od istoty zatrzymanej w rozwoju umysłowym w czasie dzieciństwa? Dążenia rozsądne wolno wygłaszać cielęciu w oborze tylko jako materyał konwersacyjny. Co do naszej woli i osławionej głupoty, to

nie jesteśmy oponętne z zasady, mamy duszę i chcemy być przekonanemi, i jesteśmy odpowiedzialne sumieniem, subtelnie w dziecińdziecińdziecińśtwie ćwiczonem, za wiele szkód popełnianych świadomie, ale pod naciskiem. Co do obowiązków, to mam pojęcie odpowiedzialności za nieużyteczność obecności w społeczności. Dlatego pragnęłabym zająć się wiejskim drobiem, albo trzodą chlewną, łagodzić jej obyczaje, wpajając w nią zasady, chociaż nie wpajając upodobań niezgodnych z ich stanem. Może większość młodzieży z tego tłumu, owej podstawy społeczności, zostałaby w przyszłości moralną i rozsądną. Oto wszystko. Ale, jeszcze zapomniałam powiedzieć, że do tej pory nikogo nie pokochałam. Roku mam pół.

Lis słuchał z uwagą, pilnie stenografując w karneciku. Wreszcie zapytał:

— Przepraszam, jak nazwizczeczko?

— Latawerya.

— Dziękuję. Teraz proszę siadać. Kto następny, jeśli łaska.

— Ja powiem — odezwało się jakieś ładne cielątko z blond siertką w czerwone łatki.

— Proszę, bardzo proszę — kłaniał się Lis.

— Jeżeli mam szczerze powiedzieć, co myślę i czuję, to pragnę przedewszystkiem, żeby krowy wpajały w nas zasady, a po zasadach charakter i wolę. Cielę niepowinno być gąską ani kurczęciem. Cielę rozumne dużo może. Niedawno pewien wół, który się do mnie, jak mówią, zaleca, utrzymywał, że, gdyby oborą rządziły cielęta, toby było inaczej. Rzeczywiście, jabym tak pragnęła żyć pełnią sił... W takich razach idę sama do lasu, i tam natura, mając wrodzone poczucie piękna, dobroczynny swój wpływ wywiera. Nazywam się Wysysanka.

Mówczyni, kiwnąwszy zlekka Lisowi, dumnie spojrzała po obecnych i zaczęła gryźć trawę nie półgębkiem, lecz całą gębą, jak wypada cielęciu, które dąży do pełni życia.

Zaczem i inne cielęta, starsze, zachęcone przykładem i odwagą młodszych, widząc, że Lis nietylko się z nich nie wyśmiewa, ale owszem, przybiera wyraz uprzejmo-gorzkiej zadumy, bardzo podobnej do melancholii, zaczęły cisnąć się jedno przed drugie z mowami.

Dwie jałoszki: Przyślepa i Kłapouszek, chciały nawet mówić jednocześnie; dopiero uwaga Lisa, że nie będzie mógł notować, coby było dlań bolesną szkodą, nakłoniła drugą do ustąpienia pierwszej, która tak rzekła:

— Stanowisko cielęcia w społeczeństwie jest wzniosłem i bar-

dzo trudnem. Ono wywiera na bydło wielki wpływ i od niego przeważnie zależy przyszłość obór. Celem moim i ideałem jest być użyteczną. Nie jestem przeciwniczką związku z wołem, lecz go dla siebie nie pragnę: tak trudno się dobrać i zgodzić. Stosunek między wołem i jałoszką powinien być naturalny, może być nawet serdeczny. Po stosunku tym nie spodziewam się szczęścia, tylko innych, nowych obowiązków, bo na to jest stosunek, aby przez niego cielęta i woły nawzajem sobie dolę swoją ciężką umilały. Co do kierunku poezyi, to najbardziej mi się podoba realistyczny, którego jednak zmysłowość mnie razi; dalej—pasterski, czyli pozytywistyczny, bo przepadam za graniem na pozytywce. Na sztukach pięknych nie znam się wcale, z czego jestem dumna, bo to zawracanie głowy i odrywanie uwagi od pożytku.

Druga zaś, Klapouszek, tak mówiła:

— A więc mam dać wiedzieć Wilkowi o moich pragnieniach i rozumieniu moich obowiązków i przeznaczeniu cielęcia w dzisiejszej oborze? Nie mam pola do działania, bo za słabe moje wykształcenie. A tego pragnę, pragnę być użyteczną i mieć pole do działania. Uczę się sama, podpatrując i badając, ale tylko to, co mi zostawia pewien smak. Poezyę kocham, ale nie powiem, żeby mnie porywała, bo boję się rozczarować, i dla tego zadeklamuję swój wierszyk:

Kto swej młodości złamawszy kopytka,
Skierował bieg swój po za bory, lasy,
Próżno się sili (o doloż, ty brzydka!),
Zdechnie, nie wiedząc, co wole karesy.

Co do miłości, to chcę być kochaną, ale dla mnie miłość musi być nie zwierzęca, tylko poświęcająca się. Niestety, dzisiejsza młodzież nie odpowiada wymaganiom mojego ducha. Gdy się zestarzeję, wezmę sobie sierotki na wychowanie i to mi życie wypełni. Nakoniec, kocham pasterza i bydło. A obora powinna być oparta na kółku rodzinnem. Obora bez rodziny zginie, bo każda jednostka zginie, a więc zginie obora. Teraz, kiedym już wszystko powiedziała, ciekawam, jakie będzie zdanie Wilka: czy myślę prawidłowo, czy też jestem na złej drodze?

— Sądzę — rzekł Lis grzecznie, — że poetycki talent, którego słyszałem próbkę, zdoła ustrzedz panią od błędów rozumowania, a nawet od omyłek w postępkach. I Wilk nie inaczej, będzie się na to zapatrywał...

Wtem przerwał Lisowi harmider wśród jałoszek.

Słychać było krzyki: „Niech mówi Fikarya! Chcemy, żeby mówiła Fikarya! Nikt tak nie powie jak Fikarya!“

Jakoż Fikarya, wypchnięta na widownię, rzekła:

— Warunki, w jakich żyją cielęta, muszą powodować nieszczęścia. Tak, cielę niema swobody i, choć rwie się do lotu, musi chodzić na czworakach. Czyż to nie jest nieszczęście? Ach, sądziłam, że zapoznawszy się z rozwojem umysłowości ogólno zwierzęcej, potrafię wyrazić rozpierające mnie uczucia. Niestety, płoty i zagrody krępują mój umysł; jestem smagana biczem, ale czyż dla tego mam zostać na nizinach, gdzie tylko dzikie gęsi fruwają, ach, one będąc uskrzydlone... Ratunek nasz w niezależności serca i zasad. Dążmy do niej, bo wtedy byk, który sam przez się nienawidzi szczytnych uniesień, będzie duszą naszej duszy, myślą naszej myśli, i gdy ryknie „kocham,“ nie będzie to znaczyło „pożądam.“ Tak, pragniemy, my, jałoszki, rozszerzać się i wysubtelniać. Nie chcemy niewoli, wolimy, żeby nam wolno było być wolnemi!

— Gdzie ja to już słyszałem? — przemknęło przez głowę Lisa, — aha, to Wilk mnie uprzedzał, że to usłyszę. Prawda, jak kury wielbię, prawda!..—A pani, co sądzi o tem wszystkiem?.. — spytał jakiejś starszej jałowicy, która wzgardliwą postawą znać dawała, że coś ważnego w swojej gębie tai. Reszta cieląt zaczęła szeptać z szacunkiem: to Skończony Czworonóg, słuchajcie, słuchajcie!

Właścicielka tego dostojnego nazwiska odezwała się:

— Przedewszystkiem, z całą szczerością i śmiałością wypowiadam, że cielęciu nie wolno być sobą, lecz musi być stworzeniem, co i myśli porządnie i serce ma czyste. Cielę powinno być nie dodatkiem w oborze, jakimś tam odgrodzone kojczykiem, ale być najważniejszą połową, że nie powiem trzema jej czwartemi. Ztąd nie wypada, żeby zaraz cielęta, równouprawnione z wołami, wprzęgały się do jarzma, nie. Ale wypada, żeby cielę rozumiało gruntownie, gdzie skacze, dla czego gzi się, ażeby koszt edukacyi, łożony przez dziedzica, nie szedł na marne. Trzeba więc, żeby się cielę uczyło hygieny i pedagogiki, gdyż wiadomości z tych nauk są bardzo zdrowe i nauczające, czyli pożyteczne. Ażeby zasłużyć na szacunek, cielę musi pracować koniecznie. Albowiem bez pracy nie smakują zabawy, pląsy i bieganina po wykrotach. I niech mi będzie wolno z kim chcę obcować: czy z bykiem czy z wolem, to rzecz moja. Niech wzajemny stosunek cielęcia do tych osobników będzie nacechowany szczerością, niepozbawioną wyszukanej grzeczności, uprzejmości i opiekuńczości, bo cielę zawsze, bądź co bądź, tęskni do silnych bicepsów. Co do poezyi, to słysząc różne o niej zdania, nie mam

ochoty się nią zatruwać, aby nie umrzeć na duszy. Albowiem stronię od tego, co nie kształci, nie naucza i nie jest pożyteczne.

Lis jeszcze nie zdążył powtórnie zaostrzyć ołówka, kiedy już nowa oratorka, kipiąca niecierpliwością wypowiedzenia swoich myśli, zabrała głos w tym sensie:

— Pytania wilkowe zachęcają mnie do uczestniczenia w gronie cieląt odpowiadających na nie. Zaraz po ocieleniu, prowadziłam z koleżankami szereg rozmów na ten temat, a i teraz rozmyślam nad tem, czem jestem a czem być powinnam. Minęły czasy, kiedy udziałem cielęcia było być szczęśliwem. Teraz, z rozwojem mięsożerności, musimy uszczęśliwiać innych; jest to wiele dla tych innych, dla nas — zamało. Ale trzeba mieć serce, sam rozum nie wystarczy; „żyć bez serca, dla cielęcia znaczy martwem być do ścięcia," — nie tego serca czułego i szalonego, zapalającego się na chwilę, ale serca, które kocha wiele, kocha miliony, kocha całą oborę, całe pastwisko, i wszystkich pasterzy z ich psami, i wszystkie lasy z ich wilkami. Takie serce mieć musi nasze, tutejsze cielę. Miłością i tkliwością musi być ogrzana praca nasza, bo wtedy najwięcej korzyści ogółowi przyniesie. Jest jeszcze jedna miłość dla nas otwarta — miłość samcza, która powinna być oparta na twardych podstawach; bo wtedy tylko będzie to ideałem a nie szałem, który nigdy nie jest trwałym. Dalej, stoją otwarte sztuki piękne, bo to nie jest specyalnością jednostek, tylko to strumień, z którego każdy czerpać może. Idźmy naprzód, bo kto nie postępuje, ten się cofa. Ja wam to mówię, ja, Szczerocha.

I nie czekając na zaproszenie Lisa, dorzuciła:

— Ma głos siostra moja, z przydomkiem Ogoniasta. Mów.

Ogoniasta otworzyła gębę, a słowom jej towarzyszył coraz bardziej potęgujący się rumieniec.

— Wstyd mi wyznać — mówiła — że, mając dwa lata, jestem tak mało postępowa w dążeniach i pragnieniach. Zawsze, już w dziecinne lata moje, lubiłam zdawać sobie sprawę z tego, co się naokoło mnie działo, później badałam różne wrażenia, i zagadnienia ogólne pierś moją rozpierały. Jako cielę domowe, walki o byt nie znałam, uczono mnie tylko znać drogę do pastwiska. Dręczyłam się pytaniem, com winna oborze i czego ta obora ma prawo żądać ode mnie? Mleka i mięsa, mówiło coś we mnie, ale odrzucałam ze wzgardą te poszepty instynktu. Nie, obora chce, żebym była pożyteczną bez rozgłosu. I będę, będę dorzucała ziarna do idei społecznej. Chciałabym być płodną krową, potomstwa chciałabym mieć jak najwięcej, aby je wychowywać na dzielne podpory obory, wychowywać oso-

bno byczki, osobno jałoszki, aby się nie skaziły i nie zatraciły swych cech naturalnych. Z poetów, kocham Byczewskiego, temu jednemu przyznaję poznanie duszy cielęcej. Wolańskiego, przyznaję ze smutkiem, nic a nic nie rozumiem, bo jest zbyt wielkim symbolistą.

— Wybornie, wybornie — mruczał Lis, który zaczynał już tracić cierpliwość, i widząc nastawionych do mówienia jeszcze kilka mordek cielęcych, przemyśliwał, jakby tu zemknąć, nie obraziwszy ambicyi cieląt, tej najczulszej ich struny. Szczęściem dwa wypadki podziałały rzeźwiąco na podupadły humor Lisa. Naprzód, poetce Kłapouszkowi udało się stworzyć i szepnąć komuś w kąciku dwójznacznik, a mianowicie: „kocham wołu, ale mnie nie porywa; Wilk mnie porywa, ale go nie kocham". Z gęby do gęby podawany dowcip ten wzbudził chichotanie ogólne; wesołość spotęgował jeszcze drugi wypadek, a raczej mowa pewnego młodziutkiego cielątka, które, korzystając z zamieszania, też zaczęło rozwijać swoje poglądy. Cielątko, zwane Pieszczotką, mówiło:

— To jest moje zapatrywanie, gdzie każdy ma być ziarnkiem dla społeczeństwa, które nie pragnie od małżeństwa szczęścia, ponieważ, jeżeli się mówi „kocham", to nie powinno znaczyć „pożądam" i praca powinna być a wszyscy powinni być dobrzy, bo gdybyście wiedzieli, jak różne uczucia pierś mą rozpierają, to dla wyrażenia ich, poznanie ruchu umysłowości pedagogiczno-hygieniczno-pozytywistyczno e... e... e...

Tu, nie mogąc się wygrzebać i osobliwie zmieszana uporczywym wzrokiem i mimowolnym uśmieszkiem Lisa, Pieszczotka rozpłakała się.

— Ja tam nie jestem uczona — mówiła szlochając, — gniewam się. — I rzeczywiście poszła poskarżyć się przed krową, nieutulona nawet zapewnieniem Lisa, że jej nie zapisze w katalożku. Ach, właśnie, onaby tak była chciała stać w karnecie, tylko ten nieznośny mus gramatyczny uzupełniania okresów!

Ażeby zatrzeć przykry ten, ze względu na Lisa, blamaż, jałochna Leżybocka beknęła donośnie na znak, że chce mówić, i mówiła:

— Za punkt wyjścia biorę dla siebie zdanie powszechnie przyjęte, że celem życia i dążeń bydlęcych jest wytworzenie jak największej sumy szczęścia na tym świecie, tudzież aforyzm: „szczęście jest tam, gdzie jest," czyli gdzie je się widzi, czyli, że jeżeli ja widzę szczęście w paskudzeniu na zielony kobierzec natury, to to jest szczęściem. Czy cielę współczesne zdolne jest do zaspokajania tych szerszych aspiracyj? Niestety, odpowiedź wypada przecząco. Ten ide-

alny pogląd na świat, któryśmy wyssały z mlekiem hodowców i krów genialnych, jakże w strzępy szarpie rzeczywistość. Jakże często nie jesteśmy przypuszczone do szczęścia i chęci nasze nie zostają zaspokojone. Mówią, że trzeba nam samodzielności. Ja nie należę bynajmniej do szeregu samodzielnych cieląt, ale odczuwam potrzebę samodzielności. Gdyby mi pozostawiono swobodę działania, wyfrunęłabym natychmiast w świat szeroki, by umoczyć swe usta w nęcącym kielichu wiedzy.

Ale i tym razem nie obeszło się bez wypadku. Snadź morze duchowości cielęcej łatwo się rozbałwania, ale uspokaja niełatwo. Jakieś czarne, ponurę cielę słuchało mowy Leżybockiej, wpijając w mówczynię wzrok bazyliszka; w końcu rzuciło się na nią, tłukąc łbem i kopytami. Czarne to cielę, zwące się Bydłokratką, wzięło mowę Leżybockiej za osobistą obrazę i wymierzyło sobie sprawiedliwość w ten najwymowniejszy sposób. Zaczem, trochę uspokojone, jęło słownie miażdżyć wzloty ku szczęśliwości Leżybockiej oraz biczować zbyt słabą preopinantki chęć do samodzielności.

— Cielę — krzyczała Bydłokratka, — jako istota bierna, żadną miarą ostać się nie może, lecz powinno się przystosować do ducha epoki. Dziś praca, praca i jeszcze praca. Cielę powinno być tak chowane, żeby ciągle coś robiło. Niech gryzie obladrę z płota, gdy nic innego nie umie, ale niech pracuje. Niech się na wołu nie ogląda, bo nie na każde cielę wół wypada. A zatem samodzielność i praca. Czy potrzebuje pracować jałoszka czy nie, powinna mieć to wdrożone, że praca jest jedynem zadaniem każdej. Niestety, jakże daleko jeszcze jesteśmy od tego ideału. Dziś tylko ta pracuje, która musi. Tak być nie powinno, tu potrzeba zmiany: by praca nie zależała od woli pojedyńczej jednostki, ale była wprost wymaganiem społeczeństwa, narzucana jednostkom jako rzecz konieczna, niezbędna, bezwarunkowa. Tak, zmuszajmy do pracy wszystkie cielęta, naglijmy do pracy, do pracy ciężkiej, jak najcięższej, do ciężkich robót wszystkie — marsz! Że tak z czasem będzie, ufam i sobie życzę, niech każda w swojem kółku tak samo się stara i czyni, co może, dla zmiany na lepsze, do czego i ja też należeć pragnę.

— Dobryś — pomyślał Lis. — Zresztą, wszakże to woda na młyn wilczy. Cielę, pracując, traci czujność i upodabnia się do wołu, tego niemowlęcia wobec lwa srogiego albo i wilka...

Dalsze refleksye Lisa zostały przerwane jakimś grubszym bekiem, zgoła nie cielęcym. Widać było na wierzchu płota łeb sporego półkrowia. Łeb ryczał.

— O, cielęce cielęta! Czemu chcecie zabijać własną cielę-

cość? Pragniecie dobra stada, a pozbawiacie je cieląt, tych kwiatów obory radujących oczy, tego uśmiechu potęgi rodzącej, tych powiewnych, chwiejnych, słodko rozbeczanych istotek, złączonych z krową ogniwem tkliwości i strumieniem mieka...

Tu i owdzie zerwały się chichotki. Niektóre cielęta wołały: słuchajcie, słuchajcie!

Łeb ryczał dalej:

— Natura wysila się i, niekiedy aż bolesna, rodzi piękne, młode latorośle, kwiaty, dzieci, cielęta, a wy.. wy same chcecie się unicestwiać i odrazu jałowieć, albo wołowić się! O biada, biada oborze, w której cielęta rej wodzą! I kogoż to bierzecie za powiernika waszych młodych, świeżo wykluwających się duszyczek?—zwierzę mięsożerne, którego pomoc i rada nie może być zanadto podana w wątpliwość. Chcecie być samodzielne — stańcie się takiemi, ale same, bez obcej, zwłaszcza wilczej pomocy... Wilk was pozjada i z czegóż będą się rodziły przyszłe krowy, to dobro obory?.. I jam niegdyś wierzyła Wilkowi, myślałam, że mnie rozwinie i wysubtelni... Ach, do dziś mam duszę zbrudzoną wspomnieniem o nim, o jego nędznych mięsolubnych zapatrywaniach. Za jego to namową, pochlebstwami rozżarzana, doszłam do tak bzdurnego o sobie wyobrażenia, że chciałam zostać lwicą. Towarzystwo krów i wołów za nic mając, rzucałam się na każdego byka z zębami i kopytami, ale cóż? Gryzłam ich, a oni, zamiast uczuwać zgrozę, śmieli się tylko...

Tu zaburczało, załkało coś we łbie, i zamiast słów, zaczęły płynąć z niego łzy, śluz i ślina.

Cielęta wybuchnęły szalonym śmiechem.

— Kto to? — spytał Lis Kłapouszka, który pokładał się od śmiechu tuż obok.

— To Agni, stara waryatka. Ukąsił ją bzik w lesie i ma zwarzone mleko. Niewiadomo, co z nią robić, bo to ni wół ni krowa. Zamknęli ją osobno i pewno zarżną.

— I cóż o niej myślicie wy, cielęta?

— E, ktoby ją tam brał na seryo, bawi nas tylko.

— Dobrze jest — Lis pomyślał, — mogłaby mi brzydko popsuć sprawę.—Tu szczeknął:

— Proszę o głos!.. Otóż, zamykając obrady dzisiejsze i reasumując ich wyniki, składam przedewszystkiem, w imieniu Wilka, najserdeczniejszą podziękę za szczerość i chętliwość w wynurzaniu swych myśli, tak wartko płynących z waszych młodzieńczych, rozpieranych przez różne zapatrywania serduszek. Niech ta nić serdeczna, którą, jak sądzę, nawiązałem pomiędzy waszemi pięknemi

duszyczkami a wielkiem sercem Wilka, przepełnionem miłością ogólnego dobra, niech ta nić — mówię — będzie trwałą, niech jej nie zrywają żadne bałamutne intrygi, żadne oszczercze i szalone słówka... (nie zaszkodzi taka aluzyjka). Owszem: idźcie do niego, do Wilka, wszystkie. On was przygarnie i oświeci i wesprze silną łapą wątłe dążenia wasze. Byle nie wszystkie naraz. Po jednemu, codzień jedno niech śpieszy do jamy: wysubtelniać się można tylko sam na sam. A teraz do widzenia, do widzenia, moje najukochańsze duszyczki. Odchodzę, mając głowę, notes, uszy i serce pełne waszych kwiecistych, tętniących życiem mówek.

Tu Lis, złożywszy zgrabny ukłon i machnąwszy kitą, niby piórem od kapelusza, wyszedł a raczej był na wychodnem, gdy jakaś niemłodziutka i jakgdyby już trochę używana jałoszka przybiegła śpiesznie, wołając:

— I ja, i ja... jeszcze ja!.. Byłam zajęta flirtem na wielką skalę... Uf!.. Trzeba zaspokajać głód serca... tak pragniemy chwili złudzenia! Wprawdzie nie mam ochoty pokazywać duszy, bo są rzeczy, które się tylko w czułem tête-à-tête pokazuje, i do sanktuaryum duszy wpuszcza się tylko wybranych, jednak chcę, żeby Wilk wiedział, jakie mam zapatrywania.

Lis z trudem powstrzymywał się, podobny do zbyt uciskanej sprężyny, ale się przemógł, poślinił ołówek i pisał, co następuje:

— Nie będąc przeznaczona na rzeź, lecz na chów, a zatem mając przed sobą długie życie, poświęciłam takowe nie pracy, bo w tej wołom ustępujemy, ale jedynie badaniu miłości i poezyi. Ze smutkiem wyznaję, że, wskutek naszej subtelności i wyrafinowania, niema takiego wołu, którego moglibyśmy kochać, my, jałoszki, które pragniemy miłości wielkiej i gorącej, o szerszych aspiracyach, które podnosimy bunt przeciw naturze, tej mistrzyni życia, która źle nas stworzyła, każąc być jałoszkami i ewentualnie krowami. Jeżeli się do wołu zbliżamy, to tylko po to, żeby mieć chwilę złudzenia. Zatem jestem pesymistką. Wobec czego trzeba wierzyć tej bajce indyjskiej, podług której wielki Brahma stworzył cielę i przeciął na dwoje i powiedział, że jedna połowa będzie męzka a druga żeńska. Tylko, że nie zawsze się one spotykają. Jeżeli się spotkają dwie takie połowy nie od głów, tylko te inne, to nie mają czem myśleć o szerszych aspiracyach, a jeżeli złączą się dwie połówki od głów, czyli półgłówki, to też źle, bo dużo jest mówienia, a za mało szczęścia. Nieśmy więc wysoko nasz sztandar, starajmy się wywierać na wołu wpływ umoralniający, który jest zepsuty, bo nie chce wpływać na cielę, ale psuje takowe. Teraz powiem o po-

ezyi. Poezya powinna być źródłem czystych rozkoszy przeczyszczających, a dzisiejszej poezyi nie hołduję, bo kąpiesz się w takowej, a jak byłoś cielęciem, tak jesteś. Cały świat poezyi jest kółkiem, które nam ciągle inną część pokazuje. Naprzód była dzika natura czyli romantyczność, później była reakcya, bo wynaleziono pozytywkę i był pozytywizm, potem przybył kierunek byczewszczyzny zatruwający cielęta piołunem, aż nareszcie zjawił się porządny Pasturek (ce cher Bergerac), znów grający na fujarze romantyczność, a więc coś czystszego, jaśniejszego, szlachetniejszego, etyczniejszego, podnioślejszego... I tak ciągle...

Tu Lis, doprowadzony do ostateczności, o nic już nie pytając, z zaciśniętemi zebami, z obłędem w krwawych oczach, blady, wypadł z obory i na przełaj śmignął przez pola, jakoby od pszczelich kąsany rojów.

Nazajutrz dzień był duszny i niepokojący. W powietrzu gór Świętokrzyskich wisiało jakieś wonne dyabelstwo: czuć było zapach tuberozy, bzów i siarki. Nad wejściem do jamy Wilka zwieszały się frendzle bluszczów i powojów, niby zatrzymane w biegu zielone siklawy, które spad ich własny, jednostajny, uśpił.

Na łożu z paproci, nigdy nie przescielanem, leżał stary, zbiedzony Wilk, i poziewywając częstotliwie z głodu, słuchał sprawozdania Lisa z wczorajszej wycieczki.

— Nie mogłeś to gdzie po drodze uszczknąć jaką odrobinę drobiu?

— Wasza Wilczości, w tamtę stronę idąc, żadną miarą, bom nie wziął sakiew, a z powrotem, musiałem co tchu pędzić, dla ulżenia napiętym nerwom, tak mnie zmęczyło krasomówstwo cielęce.

— A wierzę, wierzę — potaknął Wilk, któremu Lis odczytał był właśnie wszystkie mowy zapisane w karneciku. — Elokwencya cielęca może zabić najtęższego wołu. Kroniki przytaczają nam nie jeden tego rodzaju przykład.

— Cała sierć była na mnie mokrzuteńka. Musiałem sobie ciągle powtarzać z Hamletem: „o stupidity, thy name is calf!" Myślę— że się nie odświeżę, chyba zarżnięciem jakiej gąski albo i kurki... Cielę i nauka! Ależ cielę nie byłoby cielęciem, gdyby było zdolnem nauczyć się czegoś, wejść w siebie i wyjść z siebie. Jedyny sposób do wysubtelnienia cielęcia i zrobienia zeń czegoś szlachetniejszego, to — zjeść je. Można-ć i z kury zrobić bażanta, ale trze-

ba ją, kurę, zjeść, strawić... a o dalszej przemianie już natura sama pomyśli. Bo chociaż...

— Pst... czekaj-no — rzekł Wilk, który długim postem miał wyostrzoną czujność, — słyszę jakieś beczenie... A nuż to cielak, żądny subtylizacyi?.. A dawajże go tu, dawaj, skocz-no, pędź, leć...

Lis wybiegł duchem, a Wilk zaczął wielkiemi krokami przemierzać jaskinię. Przystawał, wypuszczał ostrza pazurów, próbując chwytności ich na własnej mordzie, i z cicha pośpiewywał. Naraz jakby sobie coś przypomniawszy, zerwał kilka pędów powojowych z różnokolorowemi kielichami, napełnionemi wonnością i gorącem, porozrzucał po ziemi, kilka gałązek porozwieszał na rosochatych złomach ścian, ogarnął legowisko, nastroił pozytywkę, wsunął do kąta jedno, drugie naczynie, i czekał.

Jakoż niebawem ukazał się Lis, postępujący miękko i zgrabnie po kamykach i ostrych zielskach, a za nim cielę, ochoczo postukujące kopytkami. Wilk, jako uprzejmy gospodarz, stał już u progu.

— Najłapczywszy Wilku, mam zaszczyt przedstawić: Fikarya, ozdoba cielętnika a moja dobra znajoma — rzekł Lis, patrząc jednem okiem na cielę a drugiem na swego pana.

Wilk skłonił się szarmancko, wpuścił Fikaryę przed sobą do jaskini i rzekł z szeroką gościnnością w stylu wschodnim:

— Oto mój dom ubogi, niebielone ściany, otom ja sługa sług twych, jak mówi poeta. Czego poszukujesz w mojej samotni?

Cielę przyjemnie uderzył styl gospodarza i poetyczny nieład w jaskini. Zadrżało jej serce i wyfrunęło na język.

— Przychodzę do was, Wilku, żebyście mnie raczyli rozszerzyć i wysubtelnić.

Wilk mrugnął na Lisa i szepnął mu w narzeczu niezrozumiałem dla Fikaryi:

— Zostaw nas samych. Jeżeliś ciekaw, możesz patrzeć przez dziurkę od klucza. Wychodząc, bądź łaskaw zasłonić wejście bluszczem i figowemi liśćmi.

Lis wyszedł.

— Więc tedy chcesz się wysubtelnić? Ależ siadaj, ot tu przy mnie... Można, można... Nawet bardzo to chwalebne, i nie masz wyborniejszej rzeczy nad subtelność, zwłaszcza cielęcą, z lekkiem podrumienieniem, z młodym, wonnym naskórkiem, z drżącą galaretką, ze słonawym sosikiem... Tylko że subtelność nie osiąga się tak zaraz na poczekaniu. Zostań u mnie, pobądź nieco dłużej, poznamy się, zwąchamy, będziemy przelewali z duszy do duszy różne roz-

pierające nas uczucia... Będziemy razem odbywali podróże, poznasz świat nowy, skruszejesz, wypełnisz się...

— Ach, jak tu milutko — przerwało cielę — widząc porzucone kwiaty. — Tak tu inaczej niż w brudnej, ciasnej oborze, gdzie co rusz to belka, to płot, to kołowrot, to wierzeje — aż głowa od tego pękala... A tu, nieprawdaż, tu wszystko wolno?

— Ależ tak, tak, moje najdroższe cielątko, moja Fikaryjko! Możesz tu sobie robić, co ci się żywnie podoba.

— Jak to dobrze, takam szczęśliwa... Powiem ci, Wilku — bo będziemy na „ty", nieprawdaż? — powiem ci, że choć głosiłam podniosłość pracy wspólnej z jakim zacnym wołem, nie wierzę, żeby najlepszy wół nie był nudny. A ty, mój panie, mój „ty", jakżeś inny. Masz takie pazury poetyczne i taką masz mordę, ty brzydalu najdroższy... Ach, takam szczęśliwa!.. Zawyjesz mi co, prawda? Z daleka słyszałam twe wycie dotąd, a teraz!..

Wilk, podniecony gorączką głodową, którą obecność Fikaryi rozjątrzyła jeszcze bardziej, towarzysząc sobie na pozytywce, zawył pieśń pod tytułem „Dobro ogólne". W pieśni, dla większej zachęty, dobro ogólne upostaciowane było w świeżem, dymiącem cielęciu, które czeka na rycerza, co najwięcej dokonał zniszczeń, walcząc w jego imieniu.

Po skończeniu pieśni, Fikarya, nie mogąc wyrazić różnych rozpierających jej piersi uczuć, padła przed Wilkiem na kolana i zaczęła lizać mu łapy. Co widząc, Wilk zwalił się na nią swojem cielskiem, przytłoczył i chciał zdusić, ale jakoś mu, głodem osłabionemu, nie szło. Obluzował tylko parę żeber Fikaryi, która była najpewniejsza, że to początek wysubtelniania. Oddychając ciężko, Wilk mówił:

— O, moja wiochno najdroższa, kocham cię, tyś taka młoda, piękna niewiedzą rzeczy subtelnych, taka budząca się królewna cieląt!.. Niegodzien jestem, niegodzien, żeś weszła do mego przybytku, ja, stary wygnaniec, szkodnik... Pomyśl, co robisz. Tam ciepły odór obory, mlek pełne wymiona, kłopotliwie zwisające między nogami krów dojnych, tam ryk wołów zacnych, chrzęst pracowitych jarzem, psia opieka... A tu?.. Ja, stary, prześladowany stad płoszyciel, krwi żądny i zemsty przeciw wszystkim oborom świata...

Wilk przerwał, by odsapnąć.

— O, mów do mnie jeszcze — szepnęła Fikarya.

— Więc tak bardzo mnie kochasz, bardzo?

— Więcej niż kochać wolno...

— Jakto, tylko tyle?

Fikarya zarumieniła się mocno.

— Mów, co mam robić?

— Dobrze. Widzisz tam ten kamień? Rozpędź się i uderz weń głową, tylko śmiało — jam z tobą.

Cielę bez namysłu rozpędziło się, i za chwilę leżało już, ciche, z rozłupanym czerepem.

— Hej tam, Lisie, — krzyknął Wilk,—bywaj acan!

Zaczęła się orgia.

Spożywszy parę kęsów biednej Fikaryi, Wilk spojrzał na Lisa i rzekł:

— Subtelne.



Jan Lemański.

GLOSSY.

Można się zgadzać lub nie, ale... Oto powstała rzecz jakaś nowa, ukazało się nowe jakieś zjawisko. Wobec tej nowej rzeczy, wobec tego zjawiska nowego, trzy są możliwości wrażeniowe: albo rzecz nam się podoba, wtedy ją chwalimy, albo się nie podoba, wtedy ją ganimy, albo, wreszcie, jesteśmy na nią obojętni, wtedy milczymy. Zdawałoby się, że czwartej możliwości niema. Otóż — jest, bo czegóż nie „wymyśli“ bezmyślność. Mianowicie, przychodzi taki pan od czwartej możliwości, popatrzy na rzecz nową, uśmiechnie się protekcyjnie i powie: — *„Można się zgadzać lub nie, ale...“* — tu zaczyna mówić zupełnie o czem innem. Weźmy przykład. Ktoś wypowiedział zdanie: ziemia jest okrągła. Usłyszał je taki pan i mówi: — *„Można się zgadzać lub nie, ale...* na ziemi rośnie pszenica i oset, okrągłemi zaś bywają śliwki, ziemniaki, czasem okrągłą bywa sumka pieniężna, a bardzo często — obręcz.“ Słowem, taki pan naplecie mnóstwo banalności, a o rzeczy samej ani be ani me. Inny przykład. Wydał ktoś książkę pod tytułem „Romans.“ Taki pan przeczytał rzecz, pokiwał głową i rzecze: — *„Można się zgadzać lub nie, ale...* mój Boże, na świecie tyle zadań, potrzeb, nędz i bólów, z romansami nic a nic nie mających wspólnego!..“ Rzekł, postawił wykrzyknik z wielokropkiem, i ocena skończona. Tak, dużo jest nędz na świecie. Jeszcze przykład. Rzeźbiarz wykuł z marmuru kobietę zupełnie rozebraną, nawet — powiedzmy — nagą, czyli bezwstydną, która kopie w zęby filistra. W gwałtownym ruchu, nieodłącznym od aktu kopnięcia, to i owo z właściwości kobiecych kształtów lepiej widać, niż gdyby ta sama kobieta siedziała na kanapie i spokojnie cerowała majteczki. Taki pan spojrzał na rzeźbę i krzyczy: — *„Można się zgadzać lub nie, ale...* radzilibyśmy wam, szanowni rodzice, nie pokazywać tego dorastającym panienkom, że-

by nie umarły na duszy." Jeszcze jeden przykład. Ktoś wystawił nowy obraz, mający za treść, dajmy na to, feniksa, w postaci reportera, któremu wciąż obcinane uszy odrastają nieustannie. Taki pan (sprawozdawca) stoi przed obrazem i mówi: — „Że to są rzeczy fantastyczne — nic nie szkodzi (ach, doprawdy?); że to są symbole — mniejsza o to (ach, panie!); ale dlaczego autor używa takiej techniki? Ja, zwykły widz, przez którego usta przemawiają całe rzesze podobnych mu, zapewnić mogę artystę, że celu swego nie osiąga. Na mnie jego fantazya słabo działa, a słowo daję, że, doprawdy, nie jestem gruboskórny (ach, doprawdy?). Nie posądzam autora (to „posądzam" jest wyborne) o brak talentu ani o nieuctwo estetyczne (ach, panie!), wiem, że to umysł ścisły, śmiały, zdający sobie sprawę z celów i środków malarstwa, ale... obraz czyniłby bardzo silne wrażenie, gdyby był namalowany inaczej. Wypada więc postawić dwa przypuszczenia: albo technika ta jest wyrazem ducha artysty i żadną inną zastąpić się nie da, a w takim razie *można się zgadzać lub nie, ale...* szanować trzeba, co uszanowania warte, albo też dzieje się inaczej. Wszystkie te niepojętości nazywają się szukaniem nowych dróg w sztuce. *Można się zgadzać lub nie, ale...* jakżebyśmy pragnęli, aby te drogi raz już nareszcie zostały znalezione!.." I znów wykrzyknik, wielokropek i — domyślnik.

Ach, taki panie, co „nie na wszystkie godzisz się poglądy," powiedz pan nareszcie, do jakiego stopnia można się zgadzać, a do jakiego nie: czy powyżej, czy poniżej zera, powiedz, panie, czy zero? Ale taki pan nie może odpowiedzieć dla dwóch powodów. Najczęściej, taki pan, który wymyślił niejako czwarty wymiar zapatrywań, nic zgoła nie wie, co o danej rzeczy nowej sądzić, bo duchem jej nie widzi i nie czuje. Mówi mu wzrok, że ta rzecz istnieje, z powodu tej rzeczy słyszy jakiś hałas, tylko o co tu właściwie chodzi, sam nie wie. Gdy rzecz ze złota, no, to jeszcze łatwiej ocenić jej wartość, gorzej, jeśli chodzi o rzecz z farb i płótna lub z papieru i atramentu. Ale cóż? — napisać wypada, żeby nie sądzono, iż mu obojętne „postęp, życie i sztuki piękne." Bierze tedy pióro i kropi: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* życie nie jest sonetem ani gazelą." Oj, to prawda: życie stwarzane przez wołów mało ma wspólności z gazelą. To jeden powód. Następnie, taki pan, którego do pisania zmusza „siła wyższa" (powyżej zera), nie chce wpaść, jak brudne portki, między kamień i kijankę (w okresie mody na ludowość stosowaną każdy to porównanie zrozumie), stawia dyabłu świecę i świętemu Symplicyuszowi kaganek. Napisaniem owego „można się zgadzać lub nie, ale..." najwyraźniej taki pan powiada: — „Ja

trzymam waszą stronę, rozumiecie, ale, ze względów wyższych, nie mogę tego tak otwarcie głosić, pojmujecie... My, w kółku koleżeńskiem, jeden z drugim, panie dobrodzieju, to zupełnie co innego, a ogół, słowo publiczne, kapłaństwo społeczne, uważacie, to zupełnie co innego. Trzeba ostrożnie, uważacie...“

Nie, nie uważamy, taki panie, który dlatego na dwóch siadasz stołkach, bo trudno ci zmiarkować, co weźmie górę, co będzie bardziej zbliżone do siły wyższej, głośniej „brzęczącej!“ Nie, nie uważamy, kochani panowie pół-serdeczni i pół-zimni, pół-artyści i półspołecznicy, pół-„obywatele“ i pół-ludzie, pół-wierni i pół-wątpiący, słowem — półgłówki, półserdki i półduszki, o których Pismo Święte mówi: wrzućcie to śmiecie do śmietnika piekieł!

Tredecim.

POWIEŚĆ.

St. Przybyszewski. *W godzinie cudu.* Warszawa. Fiszer. — Józefat Nowiński. *Życie i marzenie.* Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — Sewer. *Legenda.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Kazimierz Laskowski. *W ojców ślady.* Warszawa. Dubowski. — Tadeusz Konczyński. *Śladem tęsknoty.* Warszawa. Gebethner i Wolff.— Anatol France. *Clio.* Przekład Stanisława Popowskiego. Warszawa. Wł. Okręt. — O. Ludwik Coloma. *Pisma.* Warszawa. Bibl. dz. wyb.

W godzinie cudu, przez Stanisława Przybyszewskiego. — Symfonia miłości, hymn wszystkich jej strun, napiętych aż do zerwania, „cała lira“ erotyzmu, od dysonansowego antagonizmu Płci, tragedyi różnoimiennych magnetyzmów fizycznych, aż do wniebowzięcia syntezy w nadharmonii Dwójcy mistycznej. — Jest to typowy dla twórczości autora utwór, tak ze względu na ideę — motor jego sił wizyjnych, jak na kompozycyę, rozwijającą się niby coraz to nowe słupy dymów płomienistych z rozżarzonego ogniska kadzielnego pod tchnieniem coraz to nowych podmuchów boskiego wichru, — jak, wreszcie, ze względu na ułomności tej zkądinąd wspaniałej indywidualności twórczej. — Mamy tu na myśli skazy wspomnianej już *maniery,* która w tym wypadku ma pewne podobieństwo do końskiego ochwacenia. — Wynika ona z gwałtu, zadawanego przez żądzę autorską skrzydłom, niezawsze zdolnym do równie wysokiego i potężnego lotu, a wyczuwanego przez czytelnika jako t. z. „forsa“ nadrabianego patosu, jako dekoracyjność krasomówcza, niekiedy zaś jako oczekiwanie, wśród gratisowych wykrzykników, na zbawcze podpowiedzenie omdlałego suflera — na-

tchnienia. — W niniejszym jednak utworze są to tylko sporadyczne momenty, całość zaś zdumiewa zwartością budowy i porywającą mocą oraz przepychem wizyonerskim.

Życie i marzenie, przez Józefata Nowińskiego. — Mefistofelesowski uśmiech wykwita ze zbliżenia pod jeden i ten sam podpis: niniejszej powieści — i walecznych harców à la Nordau, któremi autor wzbogacił przepych absurdowy miejscowej „literatury“ krytycznej. — Nie bawiąc się jednak w komunały psychiatryczne, ani w zgubne dla artysty porównania, — miast obłąkanca, w jego kreacyi widzimy zajmujący okaz duszy jakobińskiej, z aż gilotynowym niekiedy „instynktem równości“, walczącej z wszechmocnym nad nią urokiem arystokratyzmu, tą ostatnią, wewnętrzną formą poddaństwa, i, wśród buntów złego sumienia, mozolnie kształtującej swą niedorodzoną (przeto naddrażliwą) „godność ludzką“. — Proces ten, z bardzo daleka przypominający „Rouge et Noir“, został odtworzony w sposób zostawiający wiele do życzenia. To wprost „nieskończone“ dzieło (595 stron), ze swą pracowitą rozwlekłością, przygnębiającą zawiłością, nienasyconą drobiazgowością, zmorowem dreptaniem w miejscu, robi wrażenie zgrzytającego nad przeszkodą żarna, góry stękającej w porodzie myszy. Wrażenie świszczącego i zapoconego wysilku uniemożliwia wszelki czar, uwagę zabija nudna i często czcza gadanina; brak auto-dyskrecyi, nie oszczędzający czytelnikowi żadnego szczegółu znojnych zapasów autora z muzą, usposabia jadowicie. — Po za tem przyznać trzeba chwalebność usiłowań i cennego instynktu głębi. Pragnęlibyśmy jednak mniej *krecich* poszukiwań, większej *szerokości* objęcia, *podnioślejszego* stanowiska, *bezinteresowniejszego* nastroju twórczego, wyswobodzenia od owego „instynktu równości“, który, jako instynkt zfermentowanej *mierności,* jest wrogiem nieprzejednanym sztuki i rozwoju artysty.

Legenda, przez Sewera. — Zawiesisty garus oportunistyczny: nieskończoność i „barszcz zabielany,“ „sztuka nowa“ i pomada do samowaru; śmieszne charakteryzowanie rzeczy niewspółmiernych i czcza gadanina sporna, albo znów pojednawcza.—W motywach rozczulająca dychawiczność odmłodzonego fiksatuarem „vieux beau,“ usiłującego sprostać w fantazyi i modzie nowemu pokoleniu dandysów.

W ojców ślady, przez Kazimierza Laskowskiego. — Niewyraźna idejka „zagona,“ zobrazowana nie bez pewnej energicznej świeżości (np. opis pożaru). Zresztą powierzchowne tylko bronowanie zachwaszczonej i niezoranej roli. — Fatalne samo-zadowolenie, stojące na straży mierności.

Śladem tęsknoty, przez Tadeusza Konczyńskiego. — Pretensyonalne zwierzenia grafomańskie, ucharakteryzowane z naiwnością prowincyonalnego aktora na młodzieńczą genialność „modernistyczną.“

Clio, przez Anatole'a France'a, przełożył Stan. Popowski. — Powyższych pięć obrazów historycznych, nie będąc arcy-tworami autora, dają jednak dokładną *średnią* miarę jego wysokiej kultury, głębokiej erudycyi i szczególnego, u nas prawie bezprzykładnego artyzmu starożytniczego, złożonego z niepokoju ideowego, z odrazy do trywialności bieżącej epoki i z miłośnictwa archeologicznego, lubującego się w szczególe charakterystycznym, w barwie, *w stylu* epok, które (jak np. w „Pieśniarzu z Kyme“ lub w „Kommie Atrebacie“) stają przed nami z wyrazistością snu na jawie. — Przekład poprawny, niekiedy zupełnie artystyczny.

Pisma O. Ludwika Colomy. — Pewien talent kolorystyczny i poczucie dramatyczne, tu i ówdzie wdzięk egzotyzmu hiszpańskiego; wszystko to jednak fragmentaryczne, popsute pośpiechem moralizatorskim i stanowiskiem klerykalnem. — Fryzyerska elegancya warszawska zastąpiła w tłómaczeniu tytuł jednej z nowel „Wesz“ typowo niesmacznem: „A pfe!“ — Przyczynek to do psychologii miejscowego „estetyzmu.“

Włast.

VARIA.

Tredecim — odpowiadamy na liczne zapytania — nie jest pseudonimem jednego autora. Pod godłem tej „trzynastki“ skupia swe glossy, uwagi i roztrząsania całe grono pisarzy, pragnących wycofania liczmanów i przywrócenia istotnych „wartości“ w dziedzinie stosunków i pojęć artystycznych i literackich.

Okazowemi zeszytami Chimery, dla kosztowności tak samego wydawnictwa, jak i przesyłki pocztowej pod opaską rekomendowaną, nie możemy służyć nikomu. Wobec licznych żądań, uważamy za stosowne zawiadomić o tem wyraźnie. Wysyłać możemy tylko prospekt wstępny, w którym nie mamy nic do zmienienia ani do dodania.

Niniejszy zeszyt 15-ty stanowi zakończenie tomu V-go, o czem przypominamy szanownym abonentom kwartalnym.

CHIMERA.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM V. — 1902.)



CHIMERA.

Chimera

TOM PIĄTY. LIPIEC — WRZESIEŃ 1902.
WARSZAWA. — NOWY-ŚWIAT, 22.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 15. — Septembre 1902.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie